



ks. Jan Kazimierz Przybyłowski

Szósty zmysł

Gdyby cały świat stał się na moment szpitalem...

Szósty zmysł

ks. Jan Kazimierz Przybyłowski

Szósty zmysł

Gdyby cały świat stał się na moment szpitalem...

Warszawa 2019

© Copyright by Jan Kazimierz Przybyłowski



Korekta
Urszula Hańkiewicz

Redakcja, łamanie, opracowanie graficzne, projekt okładki
Grzegorz Sztandera

*Moim Rodzicom i pięciu Braciom z Rodzinami
oraz pragnącym nauczyć się posługiwania
szóstym zmysłem*



O sobie samym

Urodziłem się 2 listopada 1958 roku w Kaliszu. Miejscem moich narodzin był dom rodzinny, dlatego gdy dzisiaj odwiedzam moją rodzinę, to mówię: jadę do domu rodzinnego. Po uzyskaniu matury w 1977 roku wstąpiłem do Wyższego Seminarium Duchownego we Włocławku i w tym samym roku (26 października) powołano mnie do odbycia dwuletniej zasadniczej służby wojskowej w Brzegu nad Odrą. Po powrocie do seminarium w listopadzie 1979 roku kontynuowałem studia filozoficzno-teologiczne, które zakończyłem uzyskaniem tytułu magistra teologii na Wydziale Teologii KUL (7 czerwca 1984) na podstawie pracy „Teologia modlitwy w artykułach «Ateneum Kapłańskiego» (1909–1983)”. Świecenia kapłańskie otrzymałem 10 czerwca 1984 roku i rozpocząłem pracę duszpasterską jako wikariusz w parafii Złoczew.

W latach 1986–1988 odbyłem stacjonarne studia specjalistyczne z teologii pastoralnej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Po uzyskaniu licencjatu (9 czerwca 1988 roku) rozpocząłem kurs doktorancki, który ukończyłem w czerwcu 1989 roku. Od września tegoż roku zostałem wykładowcą teologii pastoralnej (ogólnej i szczegółowej) w Wyższym Seminarium Duchownym we Włocławku. Rok później (od września 1990 roku) rozpocząłem pracę jako ojciec duchowny w tymże seminarium. W 1990 roku zostałem członkiem Teologicznego Towarzystwa Naukowego Wyższego Seminarium Duchownego we Włocławku. Od kwietnia 1991 roku zacząłem pełnić funkcję sekretarza Polskiego Studium Józefologicznego i byłem współorganizatorem, a następnie organizatorem Ogólnopolskich Sympozjów Józefologicznych, które odbywały się w Kaliszu (1992–1996).

W latach 1990–1992 prowadziłem wykłady w Katolickim Uniwersytecie Ludowym we Włocławku w ramach cyklu „Ewangelizacja środowisk

wiejskich”, które częściowo zostały opublikowane w *Kalendarzu Rolników*. W 1993 roku na podstawie przedstawionej rozprawy doktorskiej „Znaczenie modlitwy w życiu młodzieży katolickiej. Studium pastoralne”, napisanej pod kierunkiem ks. prof. dr. hab. Romualda Raka i po złożeniu przepisanych egzaminów, uzyskałem stopień naukowy doktora nauk teologicznych w zakresie teologii pastoralnej, nadany uchwałą Rady Wydziału Teologii KUL z dnia 21 czerwca 1993 roku.

Od czerwca 1994 roku podjąłem pracę jako redaktor naczelny czasopisma diecezjalnego „Ład Boży”, a także zostałem mianowany dyrektorem Studium Teologii we Włocławku (teologiczne studia magisterskie), filii Papieskiego Wydziału Teologicznego w Warszawie, na którym prowadziłem także wykłady z propedeutyki teologii. Po objęciu funkcji dyrektora podjąłem prace związane z planowaniem dydaktyki w tym Studium i utworzeniem dwóch specjalizacji: katechetycznej i poradnictwa rodzinnego. Dzięki moim staraniom Studium otrzymało nową siedzibę, a z Fundacji Renovabis uzyskałem pokaźną dotację na wyposażenie i dofinansowanie działalności dydaktycznej. Doprowadziłem również do opracowania nowego Statutu Studium i rozwinięcia współpracy z Papieskim Wydziałem Teologicznym w Warszawie.

W 1996 roku zostałem powołany do zespołu synodalnego Metropolii Gnieźnieńskiej (II Synod Plenarny) i brałem udział w przygotowaniu schematu *Potrzeba i zadania nowej ewangelizacji dla Kościoła w Polsce na przełomie II i III tysiąclecia chrześcijaństwa*, który włączono do dokumentów ogólnych Synodu Plenarnego. Od stycznia 1997 roku uczestniczyłem w pracy Centralnego Zespołu Redakcyjnego Dokumentów Synodalnych, do którego zostałem skierowany jako reprezentant Metropolii Gnieźnieńskiej. W czerwcu 1997 roku zostałem zwolniony z pełnionych funkcji i otrzymałem urlop naukowy w celu przygotowania rozprawy habilitacyjnej.

Na wniosek Kierownika Sekcji Teologii Pastoralnej, poparty przez Dziekana Wydziału Teologicznego, od października 1998 roku podjąłem się prowadzenia wykładów i ćwiczeń z teologii pastoralnej na Wydziale Teologicznym Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, obecnie Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Stopień naukowy doktora habilitowanego nauk teologicznych w zakresie teologii pastoralnej został mi nadany uchwałą Rady Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie z dnia 4 czerwca 2001 roku. Książka habilitacyjna pt. *Znaczenie nowej ewangelizacji dla duszpasterstwa młodzieży. Studium pastoralne*, Lublin 2001. Recenzentami byli: ks. prof. dr hab. Ryszard Kamiński (KUL), ks. prof. dr hab. Jan Szpet (UAM), ks. prof. UKSW dr hab. Bronisław Mierzwiński (UKSW). Centralna Komisja ds. Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych w dniu 24 września 2001 roku zatwierdziła uchwałę Rady Wydziału Teologicznego UKSW w Warszawie o nadaniu stopnia doktora habilitowanego nauk teologicznych w zakresie teologii pastoralnej.

Po uzyskaniu stopnia doktora habilitowanego w zakresie teologii pastoralnej 1 października 2001 roku zostałem mianowany na stanowisko adiunkta na Wydziale Teologicznym UKSW w Warszawie, a stanowisko profesora nadzwyczajnego otrzymałem 1 października 2002 roku. Z dniem 1 listopada 2002 roku zostałem powołany na kierownika Katedry Teologii Pastoralnej i Nauk Pomocniczych. Od 1 września 2008 do maja 2010 roku byłem prodziekanem ds. naukowych na Wydziale Teologicznym UKSW w Warszawie, a w latach 2010–2012 pełniłem funkcję prorektora ds. finansowych i naukowych na UKSW.

Tytuł naukowy profesora nauk teologicznych otrzymałem 25 stycznia 2011 roku, a w czerwcu tego roku zostałem mianowany na stanowisko profesora zwyczajnego w Katedrze Teologii Pastoralnej i Nauk Pomocniczych.

W moim dorobku badawczym mam kilkuset artykułów naukowych i popularno-naukowych, i kilkanaście książek, m.in. *Znaczenie nowej ewangelizacji dla duszpasterstwa młodzieży. Studium pastoralne* (Lublin 2001); *Funkcja wychowawcza w teorii i praktyce eklezjalnej. Studium teologicznopastoralne* (Warszawa 2010); *Jak modli się polska młodzież? Studium socjologiczne*, Warszawa 2013; *Rola nowej ewangelizacji w Kościele i w świecie. Nowe ubranie bez dziur i łat (Łk 5, 36)*, Warszawa 2014. Prowadzę także seminarium doktoranckie i do tej pory wypromowałem 47 doktorów, spośród których pięcioro pracuje na UKSW. Część z tych prac doktorskich zostało wyróżnionych. Moi doktoranci zdobywają najwyższe stypendia i uzyskują dofinansowanie projektów naukowych.

Mam również pokaźne osiągnięcia sympozjalne (naukowe i organizacyjne). W ramach mojej działalności naukowej przygotowuję recenzje prac naukowych, dysertacji doktorskich, dorobku i książek habilitacyjnych i profesorskich. Do moich osiągnięć naukowo-organizacyjnych zaliczam również powstanie serii naukowej *Biblioteka Teologii Pastoralnej*, której jestem twórcą i redaktorem naczelnym oraz utworzenie czasopisma naukowego „Warszawskie Studia Pastoralne”, którego jestem współzałożycielem.

W mojej pracy naukowo-dydaktycznej i organizacyjnej bardzo sobie cenię twórczą współpracę ze studentami i doktorantami. To przede wszystkim dla nich została utworzona uniwersytecka telewizja internetowa PandaTV.pl, której jestem pomysłodawcą i inicjatorem. Dla potrzeb tej telewizji z własnych funduszy zakupiłem sprzęt telewizyjny, założyłem stronę internetową i powstało Międzywydziałowe Studencko-Doktoranckie Koło Telewizji Internetowej, którego jestem opiekunem. Telewizja PandaTV.pl jest też producentem filmu dokumentalnego o tragicznie zmarłym naszym Rektorze ks. prof. Ryszardzie Rumianku: *Testament – poszukiwanie sensu śmierci naszego Rektora*.

Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego jest nie tylko dla mnie miejscem naukowej działalności, ale także moim „domem” twórczej pracy. Dlatego czynnie działam na rzecz promocji mojej Uczelni. W Telewizji Trwam wyemitowanych zostało 9 godzinnych odcinków cyklicznego programu telewizyjnego zatytułowanego *Akademia Teologii w Praktyce*, które zostały zrealizowane przez studentów i doktorantów w Katedrze Teologii Pastoralnej i Nauk Pomocniczych, którą kieruję. Już szósty rok prowadzę raz w miesiącu z ks. dr. Zenonem Hanasem, Dyrektorem Biura Rektorskiego, Rozmowy Niedokończone w Telewizji Trwam i Radiu Maryja, w ramach cyklu programów „Wartości w Kościele i w demokracji”. Poświęcone są one promowaniu Katolickiej Nauki Społecznej. To tylko wybrane przykłady łączenia pracy naukowej z promocją UKSW.

Tak w wielkim skrócie przedstawia się mój życiorys. Najmniej jest w nim mowy o miłości, która jest największym powołaniem człowieka. Tak! Człowiek, tak jak Bóg, ma stać się miłością, bo dopiero wtedy jest prawdziwie i w pełni człowiekiem. Te słowa można też uznać za zachętę do lektury tej książki o szóstym zmyśle.

WSTĘP

Współczesny człowiek staje się coraz bardziej „ślepy”, „głuchy”, „nieczuły”, „pusty”, bo zatracił szósty zmysł. Dzisiaj jest coraz więcej ludzi bardzo samotnych, żyjących w totalnie zaplanowanym świecie bez Boga. Gdyby cały świat stał się na moment szpitalem, a wszyscy ludzie byłiby pacjentami, to większość z nich odkryłaby na nowo szósty zmysł i świat już na zawsze stałby się inny, bo byłoby w nim więcej miłości, a ludzie staliby się lepsi, mądrzejsi, piękniejsi, szczęśliwsi. Każdy człowiek otrzymuje w darze pięć zmysłów: wzroku, słuchu, dotyku, smaku i powonienia, z których może lub, z różnych powodów, nie może korzystać, a niekiedy nie chce korzystać. I tak np. Jezus mówił do swoich uczniów: „Macie oczy, a nie widzicie; macie uszy, a nie słyszycie?” (Mk 8, 18). U niektórych ludzi zmysły mogą być zablokowane na czas ziemskiego życia, dlatego są np. osoby niesłyszące, niewidzące. Jednak jest jeden zmysł, szósty, który również każdy człowiek posiada, ale większość, niestety, z własnej winy, go nie wykorzystuje. O tym szóstym zmyśle jest ta książka.

Czym jest szósty zmysł? Oczywiście każdy może już teraz zajrzeć na ostatnie strony tej książki i znaleźć odpowiedź na to pytanie. Będą to jednak tylko puste słowa. Zrozumieć szósty zmysł może tylko ten, kto chce przejść pewną drogę z przewodnikiem; i ta książka jest przewodnikiem na tej drodze.

Pomysł jej napisania zrodził się u mnie po operacji serca w Szpitalu św. Jadwigi Królowej w Rzeszowie, na oddziale kardiologii, którym kieruje prof. UR dr hab. Kazimierz Widenka. Po udanej operacji myślałem o formie wdzięczności; cóż to za piękne słowo! Miałem różne pomysły, ale jeden szczególnie mi przypadł do gustu. Już od jakiegoś czasu myślałem o napisaniu pierwszej, nienaukowej książki. Uznałem więc, że najlepszym momentem na zrealizowanie tego pomysłu jest szczęśliwie zakończona operacja serca. Otrzymałem w darze nowe życie! Czy można się odwdziżyć za taki dar ludziom, którzy stanęli na mojej szpitalnej drodze życia? Ta książka nie jest „pomnikiem”, ma być żywym słowem, a może nawet służyć ludziom, którzy są w szpitalu, lub kiedyś, w czasie nieoznaczonym swojej przyszłości będą cierpieć. To cierpienie może pomóc przeżyć, złagodzić i znaleźć jego sens właśnie szósty zmysł.

W naukach teologicznych istnieje również teologia narracji (opowieści). Opowiadanie (narracja) jest na pierwszym miejscu próbą zrozumienia sensu, jaki nadajemy naszemu doświadczeniu czasu. Czas jest ważniejszy niż przestrzeń, w której funkcjonujemy. Czas bowiem urealnia nasze życie, a przestrzeń jest bardziej jego „tłem”. Dlatego np. czas spędzony w szpitalu bardziej oddziałuje na człowieka, niż przestrzeń szpitalna. Opowiadanie jest też sposobem zastanowienia się nad swoim życiem, którym nie zawsze rządzi logika przyczyny i skutku, lecz logika opowieści, w której rozumieć oznacza przedstawiać sobie, w jaki sposób jedno zdarzenie pociąga za sobą następne. Jeśli zatem ktoś chce zrozumieć samego siebie, musi opowiadać innym o sobie i o swoim życiu. Opowiadanie jest sposobem porządkowania i całościowania swojego życia. Poznać i zrozumieć siebie to zatem nie tylko owoc myślenia („myślę, więc jestem” – Kartezjusz), ale także rozumienia („rozumiem, więc jestem” – hermeneutyka), a przede wszystkim umiejętności opowiadania o sobie („opowiadam, więc jestem” – narracja).

Każda narracja (opowieść) jest najpierw przeżywana w zwyczajnym, codziennym życiu, a dopiero później, przy sprzyjających okolicznościach, jest opowiadana. Opowiadanie pozwala człowiekowi odkryć siebie jako bohatera opowieści, która przedstawia przeżywane przez niego wydarzenia w kategorii narracji. Można zatem powiedzieć, że poprzez opowiadanie

mamy szansę uchwycić zarówno przemijający czas, jak również doświadczyć jedności i całości naszego życia. Natomiast podejmując próbę opowiedzenia swojej historii, zyskujemy tożsamość, którą można nazwać narracyjną jednością ludzkiego życia.

Podjąłem się opowiedzenia mojej historii szpitalnej w tej książce. Pierwsze szkice powstały w szpitalu, ale potrzebowałem jeszcze trochę czasu, aby ująć wszystkie wydarzenia i przemyślenia w formie opowieści. Nie jest to historyczny zapis, nie dbałem więc o dokumentowanie mojej opowieści szczegółami archiwistycznymi. Chodziło mi bardziej o uchwycenie przemijających doświadczeń, aby w mojej opowieści przekazać garść prawd, które mają wartość ponadczasową. Nie przypisuję więc sobie tylko mądrości tych opowieści. Jest to bardziej kompilacja mojej wiedzy, przeżyć, pragnień, chwil trudnych i ubogających z mojego życia, ale też mądrości wielu, bardzo wielu ludzi. Ponieważ jestem teologiem, który specjalizuje się w teologii pastoralnej (praktycznej), którą ja częściej nazywam teologią stosowaną, pozwolę więc sobie na początku wprowadzić w meandry tej nauki.

KILKA UWAG O TEOLOGII STOSOWANEJ, którą to część Czytelnik może, jednak nie bez większej szkody dla zrozumienia całości, opuścić

Jednym z głównych celów teologii stosowanej jest poszukiwanie, nazywanie i wskazywanie możliwości współpracy członków Kościoła ze współczesną społecznością ludzką. Pastoralista, czyli teolog zajmujący się praktyką Kościoła, powinien badać przede wszystkim duszpasterstwo zwyczajne (parafialne), w ramach którego realizowana jest działalność zbawcza. Odnowa duszpasterstwa parafialnego domaga się jednak uzupełnienia przez różne formy duszpasterstwa specjalnego, a także poszukiwania nowych sposobów ewangelizacji i apostołskiej działalności wiernych świeckich. W związku z tym pojawiają się nowe wyzwania dla teologii pastoralnej również w różnych obszarach działalności uzupełniającej (ekstensywnej): edukacyjnej, wychowawczej, kulturalnej, społecznej, ekologicznej, politycznej, zdrowotnej.

Teologia pastoralna jest nauką humanistyczną, która łączy teologię (wiedzę o Bogu) z wiedzą o człowieku, o świecie i o Kościele. Teologia pastoralna należy do nauk stosowanych, które wykorzystują teorię, doświadczenie i praktykę do rozwiązywania problemów współczesnych

ludzi. Celem nauk stosowanych jest poszukiwanie rozwiązań problemów, jakie człowiek spotyka na drodze swojego osobistego rozwoju, relacji społecznych i postępu dokonującego się w świecie. Teologia stosowana tworzy więc teorię, którą można zastosować w praktyce (najlepszą praktyką jest dobra teoria).

Głównym problemem teologii pastoralnej jest połączenie wiedzy teoretycznej z praktyką, z czym każdy człowiek spotyka się w swoim życiu. O człowieku, który jest tylko „teoretykiem”, mówi przysłowie: „mądry w gębie”, czyli teoretyk, który nie zawsze potrafi to, co wie, zastosować w swoim życiu. Ma natomiast zawsze w zanadrzu tzw. dobre rady dla innych. Jak to jest trudny problem, można też ukazać poprzez odwołanie się do pewnej anegdoty.

Spowiada się mężczyzna:

– Proszę księdza, wydaje mi się, że prowadzę dobre życie. Nie piję, nie palę, nie spotykam się z kobietami, o 22 kładę się spać, wstaję o 6 rano. W każdą niedzielę chodzę na mszę św.

Na to ksiądz odpowiada:

– Obawiam się synu, że się to zmieni, jak wyjdiesz z więzienia.

Ta anegdota pokazuje bardzo ważny problem rozejścia się teorii i praktyki w życiu człowieka. Teoretyk jest podobny do osoby przebywającej w więzieniu: teoretycznie jest nienaganny, ale w praktyce, na wolności taki człowiek staje się bezradny wobec wyzwań, jakie niesie ze sobą życie. Jestem wierzący, ale niepraktykujący – z takimi deklaracjami często można się spotkać. Oznacza to, że uznaję teorię, ale nie stosuję jej w praktyce. Pojawia się więc proste pytanie: czy można temu zaradzić? Tutaj pomocna może być teologia stosowana.

Teologia w ogólności jest refleksją nad wiarą i doświadczeniem chrześcijańskim. Natomiast w teologii pastoralnej, która jest nauką stosowaną, teoria i praktyka tworzą „dwubiegunową jedność”. W teologii pastoralnej wykorzystuje się zarówno wiedzę teoretyczną, jak i wiedzę praktyczną, której źródłem jest doświadczenie. Dzięki temu teolog pastoralista może wypracować praktyczne propozycje rozwiązań tych problemów, które dotyczą życia i działalności Kościoła współczesnego, a także jego członków, którzy wypełniają swoje powołanie chrześcijańskie w świecie.

Chrześcijanin, tak jak każdy człowiek, jest powołany do ciągłego rozwoju i dlatego całe życie uczy się, poznaje, lepiej rozumie i skuteczniej działa. Każde działanie człowieka ma charakter twórczy i użyteczny. W twórczości należy wyraźnie podkreślić element ciekawości ludzkiej, która stoi od początku u podstaw całej nauki. Człowiek chce poznawać i rozumieć rzeczywistość, która go otacza, ale interesuje go również jego osoba i życie. Z ciekawości rodzi się dociekliwość, czyli zaplanowany sposób dochodzenia do istoty rzeczy i poznawania prawdy. Wiedza zdobyta w sposób doświadczalny i praktyczny nie jest jednak gotowym sposobem działania, dlatego potrzebna jest „czysta” teoria, dzięki której możliwe jest skonfrontowanie wiedzy doświadczalnej i praktycznej z wiedzą teoretyczną. I to jest właśnie teologia stosowana.

Wracając natomiast do anegdoty, można wskazać wartość badań teologii pastoralnej. Chrześcijanin nie może być tylko teoretykiem, czyli nie może żyć jak w więzieniu. Żeby być chrześcijaninem nie wystarczy jedynie chodzić do kościoła, dbać o wychowanie swoich dzieci, żyć według Bożych przykazań. W ten sposób chrześcijanin może stworzyć sobie „więzienie wiary”. Tymczasem uczeń Chrystusa powinien nieustannie się rozwijać, przemieniać, nawracać. Sprawdzianem dla wiary jest bowiem życie codzienne, w którym trzeba żyć z Chrystusem. Jakim jest chrześcijaninem, każdy może sprawdzić, przyglądając się swoim relacjom z innymi ludźmi, zwłaszcza najbliższymi? Zachowywanie tradycji i spełnianie obowiązków religijnych nie jest jeszcze dowodem na żywotność wiary. Wiara sprawdza się bowiem w życiu, zwłaszcza w relacjach z drugim człowiekiem.

Teologia pastoralna łączy trzy obszary badań naukowych. Dla zobrazowania tego można odwołać się do głównych prawd wiary – jest jeden Bóg, ale w trzech osobach: Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. Każda Osoba Boska „łączy się” z pewną rzeczywistością w teologii pastoralnej. Bóg Ojciec objawia Prawdę; Syn Boży staje się człowiekiem, aby nauczać Prawdy i wreszcie Duch Święty prowadzi Kościół, w którym Prawda jest przekazywana wszystkim ludziom na ziemi, wszystkich czasów i pokoleń.

Dla pastoralisty najważniejszym wyzwaniem naukowym jest człowiek, który żyje w świecie i Kościół, który działa w świecie. Zwrócił

na to uwagę Jan Paweł II w encyklice *Redemptor hominis*. Napisał w niej, że pierwszą i najważniejszą drogą, po której powinien kroczyć Kościół jest człowiek. W teologii pastoralnej człowiek jest najpierw osobą ludzką stworzoną przez Boga, aby czynić sobie ziemię poddaną. W powołanie człowieka jest też wpisane wezwanie do uczestnictwa w zbawieniu i budowaniu królestwa Bożego w świecie. Człowiek jest więc tylko stworzeniem, choć znajduje się na szczycie dzieł stworzonych, ale poprzez Chrystusa jest też dzieckiem Bożym. Chrystus jest z każdym człowiekiem w jakiś sposób zjednoczony, nawet gdyby człowiek nie zdawał sobie z tego sprawy (Jan Paweł II, Encyklika *Redemptor hominis*, n. 14).

Teologia stosowana zajmuje się także życiem i działalnością członków Kościoła. Konstytucja dogmatyczna o Kościele *Lumen gentium* naucza, że „do społeczności Kościoła wcieleni są w pełni ci, co mając Ducha Chrystusowego w całości przyjmują przepisy Kościoła i wszystkie ustanowione w nim środki zbawienia i w jego widzialnym organizmie pozostają w łączności z Chrystusem rządzącym Kościołem przez papieża i biskupów, w łączności mianowicie polegającej na więzach wyznania wiary, sakramentów i zwierzchnictwa kościelnego oraz wspólnoty (*communio*). Nie dostępuje jednak zbawienia, choćby był wcielony do Kościoła, ten, kto nie trwając w miłości, pozostaje wprawdzie w łonie Kościoła «ciałem», ale nie «sercem»” (KK, n. 14).

Powraca tutaj znowu problem teorii i praktyki religijnej. O co chodzi bowiem w tej przynależności do Kościoła „sercem”? Zanim wyjaśnię ten problem, przytoczę kolejną anegdotę. Do pewnej parafii ma przyjechać Ksiądz Biskup na wizytację. Niestety, z przyczyn niezależnych, jego przyjazd się opóźnia. Wszyscy czekają w pogotowiu: ksiądz proboszcz z krzyżem do ucałowania, przedstawiciele parafii z przygotowanymi przemowami powitalnymi, dzieci z kwiatami, poczty sztandarowe, ministranci z trybularzem i święconą wodą. Wszyscy czekają cierpliwie na wizytę Księdza Biskupa. Wreszcie Ekscelencja dojechał. Powitanie przebiegało zgodnie z przyjętym rytuałem. Do Księdza Biskupa podeszli także ministranci z trybularzem i kadzidłem. Niestety, podczas oczekiwania na przyjazd Gościa ogień w trybularzu wygaś.

Ksiądz Biskup zapytał ministrantów:

– A gdzie żar?

Ministranci głośno odpowiedzieli:

– Żar jest w sercu, Ekszelencjo.

Ta anegdota w prosty sposób pokazuje, o co tak naprawdę chodzi w naszej wierze. Cała moc wiary jest w sercu człowieka. Z serca płynie miłość do Boga i do człowieka. Prawdziwą tajemnicą serca jest jednak „żar”. Co to jest ten żar serca? Żar sprawia, że człowiek ma serce otwarte, gotowe na dawanie i branie. Żar rozpala, ale też pobudza do działania. Żar oznacza nieustanne czuwanie, ale symbolizuje też trwałość deklarowanej i wyznawanej miłości. Kto więc przynależy „sercem” do Kościoła, ten oddaje swoje serce Bogu, bo tylko On może w sercu człowieka rozpałić i podtrzymywać żar prawdziwej miłości.

Jaki jest cel główny cel teologii stosowanej? Przedstawię to za pomocą jeszcze jednej anegdoty.

W bardzo eleganckiej restauracji klient prosi kelnera o podejście.

– Proszę Pana, nie mogę zjeść tej zupy.

Kelner, chcąc szybko załagodzić sytuację mówi:

– W takim razie natychmiast idę po kierownika, aby wyjaśnić tę sprawę.

– Proszę Pana, po co mi kierownik, przynieś mi Pan łyżkę – powiedział klient.

Jestem przekonany, że Czytelnicy tej książki zasługują na to, aby mogli nie tylko korzystać z poznania zmysłowego, z mądrości płynącej z doświadczenia, ale także otrzymać przydatną w praktyce, w życiu codziennym wiedzę, której źródłem jest teologia pastoralna, którą często nazywam teologią stosowaną. Ta wiedza może towarzyszyć człowiekowi w jego codziennym życiu, podsycać jego ciekawość, pobudzać do dociekliwości. Chciałbym więc pomóc Czytelnikom tej książki w poszukiwaniu rozwiązań tych problemów, z jakimi spotykają się na drodze osobistego życia, w relacjach z innymi ludźmi i na drodze postępu, jaki dokonuje się w świecie.

Mam świadomość, że katolicy polscy mają rozległą wiedzę religijną, którą czerpią z nauczania Kościoła. Słuchają kazań i homilii, czytają prasę

katoliczką, oglądają programy katolickie i słuchają radia katolickiego. Sama wiedza jednak nie wystarczy. Potrzeba nieraz drobnej wskazówki, czasem zachęty, a innym razem pomocy, aby wiedzę religijną zastosować w codziennym życiu. W tej książce będę się starał symbolicznie podać Czytelnikom „łyżkę”, dzięki której będą mogli swoją wiedzę skosztować w codzienności.

OPOWIEŚĆ, ALBO JAK KTO WOLI WSPOMNIENIE GODNE WYSŁUCHANIA I PRZEKAZANIA INNYM

Na każdym oddziale szpitalnym jest miejsce, gdzie pacjenci przychodzą, aby porozmawiać, a nieraz tylko usiądą, aby być z kimś i nie czuć się samotnym. Najwięcej rozmów odbywa się w salach chorych, ale do „przyjacielskiej” rozmowy potrzebna jest intymność i takiej atmosfery poszukują pacjenci; nie kierując się racjonalnymi przesłankami, obierają instynktownie takie jedno miejsce i tam idą, aby pobyć ze sobą.

Przebywając na oddziale kardiologii często myślałem o takim miejscu. Nosilem je w sobie, ale potrafiłem je również zlokalizować w przestrzeni oddziałowej. To miejsce stało się symbolem tak różnorodnych ludzkich dziejów, które zdarzyły się naprawdę, ale jednocześnie rozgrywały się w mojej wyobraźni. W którymś momencie utraciłem świadomość przeżywanej chwili i rzeczywistość pomieszła się z obrazami wyobraźni. Czas stanął w miejscu, otworzyły się granice przestrzeni i czasu, i znalazłem się w świecie opowieści.

Jedną z takich opowieści przedstawiam w tej części książki; kanwą opowieści są wspomnienia, które spisał ks. Leon Bemke SAC, a ja mogłem

się z nimi zapoznać w pracy magisterskiej ks. Tomasza Pławnego SAC, którą recenzowałem i przechowuję w moim archiwum. Wspomnienia są bardzo ciekawe i wielkim pożytkiem dla Czytelników byłaby możliwość poznania ich w całości, ale są one zbyt obszerne. Dlatego postanowiłem wykorzystać tylko początek tej opowieści i dołączyć własne przemyślenia, aby stała się ona swoistą przypowieścią.

To wspomnienie symbolicznie kumuluje i reprezentuje niejako przeżycia wielu ludzi, którzy opowiadając o swoim życiu nawet nie zdają sobie sprawy, że tworzą historię, której annały zapisane są nie tylko w ludzkiej pamięci, ale należą do rzeczywistości poza czasem i przestrzenią życia człowieka. Takie opowieści to nie są „kamienne pomniki”, ale jest to żywa księga, w której historii poszczególnych ludzi są tak samo ważne, potrzebne i znaczące również w wymiarze dziejów całej ludzkości. Ta opowieść jest też zachętą dla każdego, aby starał się opowiadać swoje życie, budować kolejne wersje narracji, tworzyć opowieść o swoich dziejach, pisać księgę swego życia, która jest w rękach człowieka, ale należy do Boga i Jemu trzeba będzie ją zwrócić.

Opowieść zaczyna się tak

Koniec sierpnia 1939 roku był gorącym okresem oczekiwania na wybuch wojny. Nie wiadomo dlaczego tak jest, ale w chwilach niepewności rodzi się w ludziach potrzeba porządkowania własnego życia. Nie wiem, czy słowo „porządkowania” jest najtrafniejsze, ale trudno znaleźć lepsze określenie na instynktownie przeżywany lęk, którego nie można się pozbyć, ale trzeba go umiejscowić w sobie. Lękowi za ciasno jest i w rozumie, i w sercu. Można więc mieć wrażenie rozchodzenia się lęku po całym ciele. Może to układ krwionośny jest takim torem dla lęku, w którym krew roznosi go po całym organizmie, jak kelner?

Najgorszą postacią lęku jest „sparaliżowana” dusza. Taki lęk każdy człowiek przeżywa od czasu do czasu. Nie jest potrzebna wojna czy jakakolwiek inna ekstremalna sytuacja; taki lęk może się zrodzić też w szpitalu, zaraz po przekroczeniu progu szpitalnego budynku. Taki lęk może opanować człowieka tuż przed czekającą go operacją, ale może też tak po prostu się zrodzić i w sercu, i w duszy, i w umyśle.

Słyszałem kiedyś historię o pewnym człowieku, który przeżywał taki lęk. Było to związane z wybuchem wojny. Od samego początku wojny ten człowiek bał się nawet wyjść na ulicę, bo to równało się dla niego z niebezpieczeństwem utraty życia. Najgorsze miało jednak dopiero przyjść. Pojawił się bowiem u niego lęk o zbawienie duszy. Cały czas miał natrętne myśli, że jeśli zginie, to będzie również potępiony i pójdzie do piekła. Nie umiał sobie z tymi natrętnymi pokusami dać rady. Był całkowicie „sparaliżowany”, a natrętna myśl o piekle pozbawiała go resztek zdrowego rozsądku. I wtedy przyszedł ratunek. Postanowił się wyspowiadać i to pozwoliło mu przełamać strach i udać się do kościoła. Podczas spowiedzi wyznał również księdzu trudności z opanowaniem lęku przed potępieniem i piekłem. I wtedy usłyszał od kapłana słowa, które zadziałały jak lekarstwo: „Do piekła idzie tylko ten, kto chce tam być”. Te proste słowa uzdrowiły go. Zyskał pewność siebie i zaczął myśleć: „Nie chcę pójść do piekła, a te natrętne myśli to tylko szatańska pokusa”. Już do końca wojny nie bał się niczego; nie narażał niepotrzebnie swojego życia, nie czuł się bohaterem, ale był na tyle spokojny, opanowany i wolny od natrętnych myśli o zagrożeniu życia, że przeżył wojnę i jeszcze przez długie lata po zakończeniu wojny cieszył się dobrym samopoczuciem.

We wspomnieniach ks. Leona Bemke SAC jest też opisany pewien epizod, który pokazuje, że lęk można pokonać przez odwagę w działaniu. To zdarzenie miało miejsce pod koniec sierpnia 1939 roku, kiedy polskie szkoły gdańskie rozpoczęły naukę po wakacjach letnich. Szkoły gdańsko-niemieckie zamknięto, a młodzież polska była wystawiana na niesłychane szykany i zaczepki ze strony młodzieży hitlerowskiej. Mimo tej trudnej sytuacji młodzież polska zachowała się w tym czasie z godnością i odwagą. Pewnego sierpniowego dnia Marysia Kudelska, jedna uczennica z klasy, której ks. L. Bemke był opiekunem, wracając z koleżanką do domu, została na ul. Długiej zaczepiona przez kilku młokosów w mundurach „Hitlerjugend”. Jeden z nich wytrącił jej książki i zeszyty. Marysia pozbierała z trotuaru swoje rozrzucone książki, ale zapamiętała sobie winowajcę. Idąc dalej trotwarem, zobaczyła tych samych młodziaków, niby zapatrzonych w jedno z okien wystawowych, lecz prawdopodobnie ciekawych, jaka będzie jej reakcja. Ona podeszła spokojnie do nich i wi-

nowajcy wymierzyła policzek. Młodzieńcy w mundurach „Hitlerjugend” byli tak zaskoczeni jej reakcją, że już więcej jej nie zaczepiali.

Dnia 25 sierpnia 1939 roku wpłynął do portu pancernik niemiecki „Schleswig-Holstein” i został zakotwiczony na Motławie, tuż naprzeciw Westerplatte. W niedzielę dnia 27 sierpnia, ks. L. Bemke udając się z ostatnim nabożeństwem na Westerplatte, przeprowadzał się promem przez Motławę zaledwie 200 metrów od pancernika.

Dnia 1 września 1939 roku nagle około 3.30 rano obudziły ks. L. Bemke krzyki, walenie w drzwi wejściowe, a krótko potem ciężkie kroki po schodach do jego mieszkania. Zaledwie zdążył wyskoczyć z łóżka, a kilku gestapowców i dwóch mężczyzn w cywilu weszło do jego sypialni i powiedziano mu, że jest aresztowany. Wśród krzyków, przekleństw i szturchańców zrewidowano całe jego mieszkanie i zabrano z biurka wszystkie dokumenty, fotografie i korespondencję. Najwięcej uragań było w chwili, gdy oprawcy znaleźli w szafie ornat.

Gdy pod eskortą policyjną wyprowadzono go z mieszkania, zobaczył, że cały dom był obstawiony przez Gestapo z bronią w rękę. Było ich dziesięciu. Myśleli prawdopodobnie, że dom będzie broniony i że zastaną w nim jakieś gniazdo oporu.

Zaprowadzono go do aresztu miejscowego w Oliwie, gdzie był z początku sam, ale powoli areszt zapełnił się Polakami, mieszkającymi w Oliwie. Między nimi było kilku Żydów. Około godz. 4.30 rano usłyszeli huk wystrzałów i wybuchów ciężkich armat (były to działa z pancernika „Schleswig-Holstein”). Wtedy zrozumiał, że wojna się zaczęła.

Około godz. 6 rano przewieziono ich otwartą „lorą” do Gdańska. Ulice z Oliwy do Gdańska były wypełnione tłumami gdańszczan, które witały ich wyzwiskami: *Polaken – Polnische Schweine Banditen*. Podobno już pierwszego dnia wojny czekali na triumfalny wjazd Hitlera do Gdańska.

W Gdańsku ciężarówka zatrzymała się przed „Victoria-Schule”. Kazano wszystkim wysiąść i przejść przez szpaler gestapowców, stojących w dwu szeregach u wejścia do „Victoria-Schule”. Trzeba było iść biegiem, a gestapowcy wśród dzikich krzyków i wyzwisk bili, kopali i okładali biegnących kolbami. Biada tym, którzy zbici, nie mogli biec, potykali się lub upadali pod ciosami oprawców. Na dziedzińcu wewnętrznym szkoły,

zamkniętym ze wszystkich stron budynkami, stało już kilkadziesiąt osób, opartych rękami o mury szkoły. Na środku dziedzińca były ustawione stoły, za którymi siedzieli gestapowcy. Każdy z więźniów musiał podejść do stołu, podać swoje personalia i oddać zegarki, szelki czy paski, pieniądze, szczyryki. Gdy ks. L. Bemke wyjął różaniec i prosił, aby mógł go zatrzymać, spotkał się z szyderstwami i szturchańcami.

Następnie zamknięto wszystkich aresztowanych w dużej sali, w dawnych magazynach z betonową posadzką w tylnej części dziedzińca szkoły. Zakazano im surowo rozmawiać ze sobą; sala była przepelniona, było tam kilkaset osób i nie można było nawet usiąść na betonowej posadzce. Przez cały dzień nie otrzymali nic do jedzenia. Od czasu do czasu wchodzili gestapowcy na salę, żeby sprawdzić, czy ktoś nie rozmawia, albo wzywali na przesłuchania. Wielu z tych przesłuchań nie wracało, bo albo poszli do innego więzienia, albo na stracenie. Pomimo surowej kontroli i zakazu rozmawiania aresztowani księża przez całą noc słuchali spowiedzi uwięzionych.

W tym miejscu na chwilę się zatrzymam, aby włączyć własną opowieść. Jest to historia mężczyzny, który w czasie wojny został przez Niemców aresztowany i osadzony w więzieniu. Codziennie był zabierany na przesłuchania. Początkowo wracał z nich o własnych siłach, ale po kilku dniach był wleczony przez gestapowców do celi. Pewnego wieczoru, kiedy wrzucili go do celi, wydawało się, że już nie odzyska przytomności. Po jakimś czasie wróciła mu jednak świadomość. I wtedy zaczął snuć głośno swoją refleksję. „Mam 40 lat. Przez całe swoje życie myślałem, że jestem dobrym człowiekiem, wzorowym mężem, kochającym ojcem, pobożnym katolikiem, czynnym patriotą. Tutaj w więzieniu zacząłem jednak szczegółowo analizować swoje dotychczasowe życie. I zauważyłem, że było w nim bardzo wiele fałszu, kłamstw, nieodpowiedzialności, złośliwości, gniewu, niespełnionych obietnic. Całe to zło bardzo mi dzisiaj ciąży i nie umiem się od niego uwolnić. Kiedy myślę natomiast o chwilach, w których byłem prawdziwie szczęśliwy, spełniony, czułem się kochany i kochający i chciałbym je wszystkie złączyć, to wyszłoby tego ze dwa lata mojego życia. Tylko ten czas uważam za moje prawdziwe życie. Żyłem więc prawdziwie tylko dwa lata. Jak ciężko jest człowiekowi na duszy, gdy ma świadomość, jak krótkie jest prawdziwe życie w szczęściu. Jeszcze bardziej boli mnie to, że ja

mam tylko dwa lata szczęśliwego życia i muszę umrzeć”. Ten człowiek zakończył swoje życie w więzieniu, ale jeszcze bardziej uciążliwym więzieniem była jego strapiona dusza. W takich chwilach tylko wiara daje możliwość uwolnienia się od brzemienia zła, które zagnieździło się w życiu człowieka, a nadzieja otwiera nową perspektywę życia prawdziwego w wieczności. Potrzebna jest też nowa miłość, aby pokochać siebie takim, jakim się jest. Ten człowiek potrafił przed śmiercią odnaleźć w sobie źródło wiary, nadziei i miłości, i w spokoju oddał swoją duszę Bogu.

W czasie wojny niebezpieczeństwo nagłej śmierci może czyhać na człowieka nawet w sytuacjach bardzo prozaicznych. Doświadczył tego również ks. L. Bemke, gdy wraz z grupą innych osób, został odseparowany w „Victoria-Schule”. Okna klasy, w której się znajdowali, wychodziły na ulicę, na której było przez cały dzień pełno kobiet, chcących się dowiedzieć czegoś o losie swoich bliskich. Wtedy doszło do zdarzenia, za które ks. L. Bemke mógł stracić życie. Wyjrzał bowiem przez okno i zobaczywszy kilka kobiet znajomych, podniósł rękę, żeby je pozdrowić. Nie przypuszczał nawet, że w oknach, po przeciwnej stronie ulicy, były posterunki Niemców, którzy ich obserwowali. Po chwili wpadł na salę gestapowiec z krzykiem i groźbami, że ktoś groził Niemcom z okna naszej sali i żądał, żeby winowajca zgłosił się natychmiast. Bojąc się, że kara może spaść na wszystkich obecnych, ks. L. Bemke zgłosił się, tłumacząc gestapowcowi, że wcale nikomu nie groził i że chciał tylko przesłać pozdrowienie znajomym na ulicy. Niemiec wrzeszczał, że za to czekać może go kula w łeb, ale widząc, że jest zupełnie spokojny, on też uspokoił się.

Tego jeszcze dnia (niedziela) po południu zaprowadzono ks. L. Bemke z grupą innych więźniów do Prezydium Policji, gdzie w dużej sali, ozdobionej portretami Hitlera i Hindenburga, zostali wszyscy ustawieni w dwóch szeregach. Wtedy weszło na salę kilku dostojników hitlerowskich i jeden z nich oświadczył im, że zostaną z Gdańska wydalen i odstawieni do granicy jednego z neutralnych państw. Do końca łudzili się, że może dostaną się do jednego z państw zachodnich. Tymczasem odstawiono ich do granicy litewskiej.

Tak kończy się pierwsza część opowieści. Dalsze wojenne dzieje ks. Bemke są coraz ciekawsze, ale jest to temat już na następną książkę.

SZPITAL – I MIEJSCE, I LUDZIE, I ŚRODOWISKO

Pobyt w szpitalu zaczyna się dość zwyczajnie. Potencjalny pacjent zgłasza się ze skierowaniem na Izbę Przyjęć i po załatwieniu niezbędnych formalności udaje się na wskazany oddział szpitalny. Jest tu jednak jeden moment, który każdy przeżywa na swój sposób. Trzeba zamienić ubranie na pidżamę. Niby prosta czynność, którą każdy wykonuje niezliczoną ilość razy w swoim domu. Tutaj jednak nabiera ona symbolicznego znaczenia. Człowiek w pidżamie na szpitalnym korytarzu jest osobą uprzywilejowaną, jest jakby u siebie, a każdy inny człowiek w ubraniu „cywilnym” jest tylko gościem. Kim chciałby być w tym momencie człowiek w pidżamie? Czy osobą uprzywilejowaną, czy jednak wolałby chodzić po korytarzach szpitalnych w ubraniu codziennym, jako gość? Tego nikt nie wie, a nawet przypuszczam sam pacjent jeszcze dokładnie nie potrafiłby na to pytanie odpowiedzieć. Ale czy „gość” w szpitalu chciałby zamienić się z pacjentem i poczuć, co to znaczy być osobą uprzywilejowaną? Sądzę, że i on nie wie, co tak naprawdę oznacza przechodzenie się po szpitalnych korytarzach, bądź co bądź miejscu publicznym, w pidżamie

nie wzbudzając prawie żadnej sensacji, a nawet nie budząc specjalnego zainteresowania innych ludzi.

Kiedy ja znalazłem się w szpitalnej przebieralni, do której prowadziły znaki „poziome” w kolorze szarym, zmieniając ubranie, w którym przybyłem do szpitala, na osobisty strój szpitalny, czyli moją pidżamę, na chwilę poczułem się o 42 lata młodszy i wspomnieniami przeniósłem się na korytarz w koszarach, w Brzegu, gdzie zmieniałem ubranie cywilne na wojskowy mundur. Do dzisiaj mam w żywej pamięci chwilę, kiedy „cywilne ubranie” pakowałem w szary papier, wiązałem pakowym sznurkiem i na paczce pisałem, trochę trzęsącą się ręką, adres domowy, na który paczka miała dojść. Od tego momentu stawałem się żołnierzem z poboru i miałem perspektywę spędzenia dwóch lat w koszarach. Czy wtedy myśli się, że dwa lata w mundurze to w sumie 365 dni razy dwa? Raczej nie. Inaczej jest w szpitalu. Tutaj, kiedy już się jest w pidżamie, pojawia się nieśmiała myśl: jak długo będę tutaj pacjentem? Niestety odpowiedzi nie ma, o czym sam mogłem się niedługo przekonać.

Szpitalny oddział to zamknięty świat; dosłownie, zwłaszcza oddział kardiologii. Obowiązują to rygorystyczne zasady zarówno dla pacjentów, jak i osób odwiedzających chorych. Oczywiście od każdej reguły są wyjątki i dzięki Bogu, bo dzisiaj każdy już rozumie prawdę, że najlepszym lekarzem jest jednak drugi człowiek, zwłaszcza ten, który kocha i którego można kochać. Czy to jest powiedziane górnolotnie? Może dla niektórych tak, ale będąc pacjentem, zaczyna się doceniać tę prostą prawdę: kochana osoba to ta, która jest ze mną i dla mnie tutaj właśnie i w tym czasie. Jeśli jej nie ma fizycznie, to pojawia się w człowieku chorym nowe, nieznanе dotąd uczucie: tęsknoty, która dosłownie rodzi drugą osobę, kochaną osobę we wnętrzu. Nie jest to osoba obca, to po prostu ktoś, kto jest tam, gdzieś, w oddali, którą znam, ale w tym momencie, w którym tęsknię, może być tylko we mnie, być częścią mnie. Ja ją porywam, ona mnie. Ja przeżywam jej obecność we mnie, a ona jest daleko i nie zdaje sobie sprawy, jak jednocześnie jest blisko i jak wiele może ofiarować drugiej osobie, która za nią tęskni.

Na szpitalnych korytarzach można spotkać nie tylko tych „fizycznie” obecnych tam pacjentów. To przestrzeń wypełniona również osobami,

których obecności nie da się zmysłowo doświadczyć. Od czego jest jednak szósty zmysł? Czy można bowiem odmówić „realnej” obecności bliskiej, kochającej osoby przy pacjencie, który nie utracił świadomości, żyje, ale jedyną oznaką tego życia jest nieustający jęk, w który wsłuchując się uważniej, rozpoznaje się wypowiedane ciągle na nowo imię? W tym momencie nieważne, jakie to imię, bo ci którzy je słyszą w sali chorych czy na szpitalnym korytarzu tylko szóstym zmysłem doświadczają realności tego wołania kogoś po imieniu.

Albo czy „nierealną” jest obecność osoby, o której chory opowiada w taki sposób, że gdy na chwilę zamyka się oczy i pozwoli się uspokoić zmysłom, ta osoba ta staje jak żywa przed nami? Lub też czy można odmówić „realnej” obecności takiej osoby, która dzwoni do chorego, a przygodny świadek tej rozmowy, ma pewność, że to nie jest tylko rozmowa, ale tak naprawdę te dwie osoby są w tym momencie razem i nie istnieją dla nich żadne ograniczenia czasoprzestrzenne?

Szpitalne korytarze i sale chorych to jeszcze inna społeczność ludzi, którzy kiedyś byli pacjentami, ale zmarli: każdy oddział ma takich swoich przedstawicieli „po drugiej stronie życia”. Przy ich nazwiskach znajduje się adnotacja o stwierdzonym zgonie. Niektórzy z nich przez chwilę być może znaleźli się w szpitalnym pomieszczeniu z tajemniczym napisem dla większości pacjentów: *pro morte*. Czy przez to są mniej pacjentami, bo nie opuścili szpitala jako żywi? Bynajmniej! Bez względu na stosunek człowieka do śmierci, na stan wiary czy niewiary w życie po śmierci, żadnego człowieka nie można tak po prostu wykreślić z rejestru żywych. Jest to szczególnie wymowne w szpitalnych kartotekach. Tu podział na żywych i umarłych nie jest tak ostry, jak w codziennej rzeczywistości, gdzie jest dom żyjących i cmentarz – miejsce pochówku zmarłych.

W szpitalnych oddziałach są również osoby będące na granicy życia i śmierci. Jak np. określić czas operacji, kiedy serce człowieka jest zatrzymane, a podtrzymywanie funkcji życiowych przejmuje aparatura? Czy ten człowiek żyje, albo inaczej: czy można bez żadnych wątpliwości powiedzieć, że żyje tak, jak każdy inny człowiek? Z punktu widzenia medycznego da się to naukowo wytłumaczyć; ale ktoś, kto jak ja przeżył taki moment na sali operacyjnej, chciałby wiedzieć: czy wtedy należałem

do świata ludzi żyjących, czy na ten moment doświadczyłem jeszcze nie śmierci, ale może „nieżycia”? Śmierć w przestrzeni szpitalnej ma trochę inną wymowę; być może uda się jeszcze na kartach tej książki do tego problemu powrócić.

Środowisko szpitalne – to określenie ma dużą pojemność treściową. Jest to z pewnością miejsce, określona przestrzeń „fizyczna”; są to też ludzie: personel medyczny, osoby usługujące chorym; to są przede wszystkim pacjenci, ale też osoby ich odwiedzające. Środowisko to również to, co tak bardzo wymyka się ludzkiej i znanej z codzienności zmysłowości: specyficzny zapach, trudne do uchwycenia dźwięki, także działające na szpitalnym oddziale aparatury medycznej i nie tylko, ograniczonej w każdym wymiarze widoczności, suchość w ustach i gardle spowodowana nieokreślonymi przyczynami, jakieś dziwne dreszcze przebiegające przez ciało, niewrażliwość lub nadwrażliwość zmysłowa: dotykowa, słuchowa, wzrokowa, smakowa, węchowa.

Jeśli ktoś chciałby doświadczyć nadrealności swojego istnienia, to szpitalne środowisko doskonale do tego się nadaje. I wydaje mi się, że każdy, kto był pacjentem szpitala, i jednak tylko niewielu, niestety, z tych, którzy odwiedzają chorych, nadrealności swojego istnienia doświadcza. Może doświadczenie tej nadrealności to byłby argument za tym, żeby zmienić świat na lepszy? Gdyby wszyscy, dosłownie wszyscy ludzie spędzili wystarczająco dużo czasu jako pacjenci w szpitalu, może świat stałby się lepszy, a ludzkość prostszą drogą zmierzałaby do spotkania z Bogiem w szczęśliwej wieczności?

A co z personelem szpitalnym? W jaki sposób oni tworzą środowisko szpitalne? Z mojego, bardzo niewielkiego doświadczenia płynie prosta prawda: personel szpitalny dzieli się na tych, którzy są radosni i na tych, którzy są smutni. Oczywiście każdy człowiek radosny ma takie chwile, kiedy jest smutny, a każdy smutny takie momenty, kiedy jest radosny. Generalnie jednak to, moim zdaniem, radość lub jej brak określa miejsce przedstawicieli personelu w środowisku szpitalnym. Najtrudniejsze wyzwania medyczne można rozwiązać, a jednocześnie spełniać najdrobniejsze czynności pielęgnacyjne, czy nawet higieniczne na szpitalnym oddziale, gdy lekarz, pielęgniarka, salowa, czy sprzątaczką oprócz posiadania

profesjonalnej wiedzy, doświadczenia i uczciwości wobec spełniania przyjętych obowiązków, będzie przede wszystkim pogodnym, radosnym człowiekiem. Do każdej osoby z personelu szpitalnego, nie tylko do kapelana, można bowiem odnieść takie oto wskazania: „Od bezsensownych nabożeństw i świętych o kwaśnym obliczu, zachowaj nas, Panie” – św. Teresa z Avila; „Smutny święty, to święty smutny” – św. Franciszek Salezy; Jan Twardowski: „Niektórzy myślą, że im bardziej ponuro, tym pobożniej. A komik zbawi świat”.

Notabene, w tym miejscu chciałbym wtrącić dygresję. Usłyszałem tę anegdotę od ks. Jacka, kapelana w szpitalu św. Jadwigi Królowej w Rzeszowie. Jest to raczej nieudolna próba zrelacjonowania tej opowieści, bo nikt, kto raz spotkał się z ks. Jackiem nie pokusi się o to, aby próbować go naśladować w opowiadaniu historyjek i poważnych opowieści szpitalnych. Oto nieudolna relacja z opowiadanej historyjki.

Na oddział chirurgiczny w szpitalu trafił ksiądz, który był bardzo radosną osobą. Nietrudno było go rozśmieszyć nawet mało śmieszną historią. Miał po prostu dar radosnego śmiechu. Ponieważ był po operacji na przepuklinę, dlatego powinien unikać również niekontrolowanego śmiechu, który mógłby wywołać komplikacje pooperacyjne. Ksiądz starannie więc zachowywał to zalecenie lekarza. Na ten oddział trafił jednak jego kolega, również radosny kapłan z tą samą dolegliwością. Po zabiegu i on także otrzymał zalecenie, aby unikać śmiechu, który mógłby spowodować powikłania pooperacyjne. I oto spotykają się ci dwaj radośni kapłani. Oczywiście nie obyło się bez opowiadania zabawnych historii. Po opowiedzeniu jednej z nich, która obydwóch rozśmieszyła i nie mogli się od śmiechu powstrzymać, żeby uniknąć komplikacji pooperacyjnych, każdy złapał się za brzuch i zamiast śmiechu na korytarzu szpitalnym rozległo się bardzo głośne piszczenie. Natychmiast przybiegła pielęgniarka, zaalarmowana tym dziwnym dźwiękiem. Na szczęście okazało się, że to fałszywy alarm. Księża nie mogąc się śmiać, jak to było w ich zwyczaju, wydawali z siebie ten dziwny dźwięk, który przypominał pisk przynajmniej setki przerażonych myszy, które próbują uwolnić się z zamkniętego pomieszczenia.



Rozdział
IV

LEKARZE

W hierarchii szpitalnej lekarze są na szczycie piramidy personelu medycznego. Każdy człowiek prawdopodobnie ma swoje przemyślenia na temat lekarzy, których albo będzie wychwalał pod niebiosa, albo będzie ich wysyłał na dno piekła. Będąc pacjentem oddziału kardiologii zetknąłem się z wieloma lekarzami. Nie ze wszystkimi mogłem się przywitać, podać rękę, porozmawiać, bliżej poznać. Jednak wracając myślą do czasu, który spędziłem w tym oddziale natrętnie narzucają mi się obrazy poszczególnych lekarzy z ich „przystosowaniem” do innych zawodów.

I tak np. widzę ordynatora oddziału jako architekta. Lekarz i architekt w jednym: czy to możliwe? Tak, można bowiem mieć rękę kardiologa i jednocześnie wykonywać skomplikowane operacje na sercu z wizjonerstwem architekta i pieczołowitością w zabaniu o szczegóły. Piękno to nie tylko to, co widać, ale także to, co jest skryte dla zmysłowego poznania. Do tego potrzebny jest jednak szósty zmysł, aby nie patrząc – widzieć, nie słuchając – słyszeć. Wzrok i słuch to są zmysły, które człowiek ma w głowie. A ja spotkałem się kiedyś z takim stwierdzeniem, że każdy człowiek powinien uczyć się patrzeć oczami serca. Jeśli tak, to serce powinno mieć

także umiejętność słuchania. Takie serce, które umie patrzeć i słuchać ma ordynator, który jest i chirurgiem od serca, i architektem od głowy.

Widziałem pewnego dnia, jak jeden z lekarzy przemierza szpitalny korytarz „dziwnym” krokiem. Pomyślałem sobie: tak nie może chodzić człowiek, który jest tylko lekarzem. I spojrzałem na niego jeszcze raz: to sportowiec, bo tak właśnie porusza się karateka. Zawód, hobby – każdy lekarz ma swój świat, w którym odpoczywa, rozwija swój szósty zmysł, a być może kształtuje całe swoje człowieczeństwo. Kiedyś dłużej przyglądałem się lekarzowi, bardzo młodemu, który równie dobrze, choć zawsze miał oczy otwarte, mógłby iść korytarzem szpitalnym z zamkniętymi powiekami. Jest bardzo skupiony – pomyślałem sobie. A tymczasem może jest to wołanie: poprowadź mnie? Czuję się niepewnie, dopiero wszystkiego się uczę, ale chcę, żebyś mi zaufała...

Jednej nocy, nie mogąc spać, zacząłem myśleć o lekarzach. Przed oczyma stanęła mi postać lekarza, którego dobrze znali moi rodzice. Wzywali go, gdy któreś z dzieci potrzebowało lekarskiej pomocy. O tym lekarzu krążyły legendy. Był bardzo znanym lekarzem, ale też bardzo cenionym jako człowiek. A to jedna z historii, jaką o nim opowiadano.

Zdarzyło się, że został pilnie wezwany do rocznego dziecka. Przyjechał w nocy, sam na motorze. Stanął przy jego łóżeczku, zbadał go i mówi przyciszonym głosem do jego taty:

– Panie Kazimierzu, sprawa jest poważna. Syn jest bardzo chory. Zaczęli chwilę rozmawiać.

– Czy wcześniej występowały jakieś niepokojące objawy? – zapytał lekarz. Tata chwilę się zastanawiał.

– Panie doktorze, żona jest w szpitalu, rodzi nasze drugie dziecko. Syna nakarmiła babcia. Na obiad była zupa grzybowa.

– To prawdopodobnie jest zatrucie pokarmowe – stwierdził lekarz. Są już widoczne wyraźne oznaki odwodnienia organizmu. Złapał za skórę na rączce dziecka i krótką chwilę potrzymał. Kiedy wziął palce, skóra pozostała zmarszczona.

– Trzeba natychmiast przywieźć lekarstwa z apteki – powiedział lekarz. Przy dziecku została babcia, a tata poszedł z lekarzem. Ten zabrał go na swój motor i pojechali do apteki. Kiedy wrócili lekarz usiadł przy

łóżeczku dziecka i podawał mu leki. Co pół godziny trzeba było podawać odpowiednie płyny, aby zatrzymać odwodnienie organizmu. Lekarz pozostał przy dziecku przez całą noc, bo uznał, że jego życie jest zagrożone.

Znam tę historię tylko z opowieści. Wiem jednak, że uratowany wtedy chłopiec nigdy nie podziękował temu lekarzowi, bo zanim dorósł, lekarz zmarł; a przecież to właśnie wtedy ten lekarz uratował mu życie. Nie spotkał tego lekarza w późniejszym życiu, nie podziękował za uratowanie życia. Czy to jednak cokolwiek zmienia? Jest on dla niego jedną z najważniejszych osób, jakie spotkał w swoim życiu. Lekarz z powołania – tak kiedyś mówiono o takich medykach. Należy jednak pamiętać, że pacjent też może być z powołania. I nie chodzi tylko o to, aby zaufać lekarzowi, poddać się jego wskazaniom, ale przede wszystkim chodzi o to, aby nosić w swoim sercu wdzięczność dla tych, co ratują nasze życie, chodzi o wdzięczność dla lekarzy, którzy ratują nas.

PIELĘGNIARKI

Wchodząc w świat personelu medycznego „niższego”, zetknąłem się z pięknymi kobietami, które „serce mają na dłoni”. Najpewniejszą tego oznaką jest uśmiechnięta twarz. Dlatego, tak myślę, do serca powinny sobie wziąć słowa św. Teresy z Avila te pielęgniarki, którym trudno przychodzi uśmiechać się do pacjentów; św. Teresa z Avila mawiała bowiem: „Bardziej obawiam się niezadowolonej zakonnicy niż całego zastępu demonów”.

Dzisiaj pomału zanika w szpitalu zwyczaj zwracania się do pielęgniarek przez: „siostrę”. Będąc w szpitalu, pytałem niektóre z pielęgniarek, jaki tu jest zwyczaj i jak powinienem zwracać się do pielęgniarek? Odpowiedzi były różne, ale generalnie zauważyłem, że większość pacjentów zwraca się przez „pani”; za to osoby starsze w większości mówiły do pielęgniarek: „siostrę”, zwłaszcza kobiety tak się do nich zwracały. Notabene spotkałem tylko jednego pielęgniarkę i to na oddziale kardiologicznym, gdzie również leżałem kilka dni. Pomyślałem wtedy, czy do pielęgniarkę wypadałoby zwracać się przez: „bracie”?

Jakim pięknym powołaniem jest bycie w służbie pacjentów. To prawda, że pielęgniarki nie są doceniane w naszym systemie ochrony zdrowia.

I to nie tylko w wymiarze ekonomicznym, choć to prawdopodobnie będzie się stopniowo zmieniać, i daj Boże, aby to było jak najszybciej i jak najwięcej. Pielęgniarki najczęściej mają ogromną wiedzę medyczną i przede wszystkim doświadczenie płynące z praktyki, dlatego w wielu sytuacjach autentycznie asystują lekarzom na równych z nimi prawach. Miło jest też patrzeć, jak lekarze okazują pielęgniarkom szacunek i życzliwość, a pielęgniarki szanują i wspierają lekarzy.

Patrząc na ciężką służbę pielęgniarek przychodziło mi na myśl, aby spojrzeć na konkretne osoby przez pryzmat „zmysłów”. I tak np. mogłaby być pielęgniarka „oczy”. Przed jej wzrokiem nic się nie ukryje, bo ma oczy dookoła głowy i widzi również dobrze, gdy ktoś stoi z tyłu. A pielęgniarka „uszy”? Taka pielęgniarka słyszy nie tylko to, co pacjent chce powiedzieć, ale również usłyszy to, co pacjent nie umie powiedzieć. Pielęgniarka „węch”. Każda kobieta ma wyczulony ten zmysł, o czym sam przekonałem się w szpitalu, używając w celach również higienicznych dobrej wody toaletowej po goleniu. Miło było wtedy słyszeć: „ładny zapach”. Pielęgniarka nie może jednak zatykać nosa, gdy musi pochylić się nad chorym pacjentem, nie powinna okazywać „wstrętu” wobec zapachów nieprzyjemnych. Dalej pielęgniarka „smak”. Tu trochę bardziej trzeba wysilić wyobraźnię: dobrze byłoby choć na chwilę usiąść z pielęgniarką przy dobrej kawie delektując się jej smakiem i uzupełniając wrażenia smakowe kawałkiem smacznego ciasta, lub choćby wyszukanej czekolady. Niestety, to może się zdarzyć tylko w wyobraźni, bo pielęgniarki na służbie w szpitalu nie mają czasu na takie chwile relaksu, zwłaszcza z pacjentami.

Pielęgniarka „Dotyk”. Miała na imię Marlena, a jej mąż to Radosław. Tutaj chciałbym się zatrzymać. Staje mi bowiem przed oczyma pewna historia. Szpitalny oddział kardiochirurgii. Już zapadła cisza w salach chorych. Światła pogasły, a nikt światła przy podłodze jest jak mała latarnia podłogowa dla pacjentów poszukujących w nocy drzwi choćby do toalety. Ta noc jest wyjątkowa. Nikt z pacjentów nie woła o pomoc. Cisza jak makiem zasiał. Pielęgniarka „Dotyk” robi kolejny obchód nocny. Przechodzi od sali do sali, zagląda, nasłuchuje.

I oto w jednej sali chorych słyszy ciche szloch. Wchodzi tak cicho, że szlochająca pacjentka jej nawet nie słyszy. Jeszcze ciszej siada przy

jej łóżku. Kiedy się nad nią pochyła pacjentka nie wydaje się nawet zdziwiona. Może czekała na te wizytę, a ten cichy szloch był sygnałem przywoławczym skierowanym tylko do niej.

– Pani Marysiu – zapytała pielęgniarka „Dotyk” – w czym mogę pomóc? To była druga noc tej pacjentki po operacji bypassów. Pacjentka leżała na plecach, a na jej piersi, co doskonale wyczuwała pielęgniarka, piekąca rana, która promieniuje niewidzialnym dla innych osób „gorącym” gojenia się.

– Sostro – to był tylko słyszalny dla pielęgniarki „Dotyk” szept – boli mnie serce. Przez chwilę niepokój ścisnął serce pielęgniarki. Szybko jednak przeprowadziła podstawowe testy i natychmiast się uspokoiła.

– Z sercem nic się nie dzieje, Pani Marysiu. To boli rana po operacji.

– Ja wiem, Sostro, ale mnie boli serce matki. Wiem, że operacja się udała, że będę zdrowa, ale w domu zostało moje dziecko. Ono jest jeszcze bardziej chore ode mnie i dla niego nie ma ratunku. Ono umiera, a ja nic dla niego nie mogę zrobić. To było dziecko długo wyczekiwane. Staraliśmy się z mężem kilka lat zanim przyszło na świat. Kiedy się urodziła nasza córeczka, wiedzieliśmy, że to jest dar Boga dla nas. Nie mieliśmy wątpliwości, że tak jest, bo gorąco prosiliśmy o nie, modliliśmy się do Maryi. Ona nas wysłuchała. Urodziła się piękna dziewczynka. Byliśmy tacy szczęśliwi. Każdy dzień z naszym dzieckiem była dla nas jak bycie w raj. Byliśmy gotowi oddać dla niej wszystko, nawet życie. Tak minęło prawie siedem lat. I przyszła ta chwila straszna – diagnoza, która potwierdziła najgorsze przypuszczenia – nasza córka umiera. Zawalił się nasz świat. Mąż jest przy niej; może tam odchodzi od zmysłów, a ja znalazłam się w szpitalu, bo ta operacja była jedynym dla mnie ratunkiem po ciężkim zawale serce. Chcę być z moją córeczką do końca, kiedy będzie od nas odchodziła.

– Sostro, pomożesz mi? – szepnęła do ucha pielęgniarki „Dotyk”.

Trudno powiedzieć, co czuła siostra „Dotyk”. Wydawało się jej, że jest tak mała i tak niewiele może zrobić dla tej pacjentki. Zaczęła się w głębi serca modlić do swego Anioła Stróża. Nagle przyszło olśnienie.

– Pani Marysiu. Czy mogę Pani zadać jedno pytanie? W tym momencie jeszcze dokładnie nie wiedziała, o co chce spytać. Myśl jej stała się jeszcze jaśniejsza.

– Pani Marysiu, czy Pani ufa nadal Bogu? – zapytała. Pani Marysia zdawała się wysilać umysł ponad ludzkie siły, aby odpowiedzieć na to proste pytanie.

– Ufam – odpowiedziała po chwili. W tym momencie pielęgniarka „Dotyk” wiedziała już dokładnie, co chce powiedzieć.

– Pani Marysiu, gdyby siedem lat temu Pan Bóg zawarł z Wami, z Panią i jej mężem, taką umowę: czy chcecie, aby urodziła się wam córka, którą po siedmiu latach zawołam do Siebie? Co by Pani odpowiedziała Bogu? Co wy byście Bogu odpowiedzieli? Pani Marysia nie zastanawiała się ani przez chwilę.

– Chcielibyśmy, jestem tego pewna, razem z mężem, aby córka przyszła na świat nawet na te siedem lat.

– Pani Marysiu – powiedziała pielęgniarka „Dotyk” – te siedem lat właśnie mija i Bóg woła waszą córkę do Siebie.

Zrobiło się na chwile cicho, jakby nawet oddech Pani Marysi ustał. Po chwili odezwała się:

– Siostró, ale serce matki tak bardzo boli. I wtedy siostra „Dotyk” powiedziała:

– Wezmę Panią za rękę, a moją drugą ręką położę na Pani sercu. Dotknę Pani rany, ale tak naprawdę dotknę serca matki, które boli. W tym momencie te dwie kobiety stały się na chwilę najbliższymi istotami na ziemi. Pani Marysia przestała cierpieć. Na potwierdzenie tego pielęgniarka „Dotyk” usłyszała od niej słowa:

– Siostró, możesz mnie prosić o co chcesz, bo to ci się spełni. Pielęgniarka „Dotyk” nie widziała, czy słyszy jeszcze Panią Marysię, czy też przemawia w jej sercu Ktoś, kto ją kocha. Z oczu popłynęły jej łzy, a wraz z nimi z ust popłynęły noszone od dawna słowa prośby:

– Chce zostać po raz drugi matką. W tym momencie pielęgniarka „Dotyk” odczuła w sercu, że została wysłuchana.

„ZIELONE BUTY”, CZYLI PERSONEL, BEZ KTÓREGO ŻADEN ODDZIAŁ SZPITALNY NIE MOŻE FUNKCJONOWAĆ

Kiedy opisałem już swoje doświadczenia związane z lekarzami i pielęgniarkami zastanawiałem się, jak opowiedzieć o pracy salowych i sprzątaczek. Odkładałem co rusz ten punkt, aż wreszcie przyszło olśnienie. Było to doświadczenie niespodziewane i całkowicie mnie zaskoczyło. Miało to zdarzenie miejsce w sanatorium, do którego zostałem skierowany na wczesnokardiologiczną rehabilitację po przebytej operacji serca. Już pierwszego dnia, gdy udało mi się zaaklimatyzować w nowym miejscu, schodziłem z piątego piętra na parter schodami i w pewnym momencie zobaczyłem przed sobą zielone, eleganckie, męskie lakierki.

Pomyślałem sobie: pierwszy raz widzę męskie, eleganckie, wyjściowe buty w takim kolorze: soczysta, wiosenna zieleń. Szedłem za tymi butami i nie mogłem od nich oderwać wzroku. Co to za ekstrawagancki człowiek zakłada takie buty? – zastanawiałem się i szedłem dalej za tymi butami jak zauroczony. Dopiero gdy byłem już na samym dole, podniosłem oczy i zobaczyłem starszego mężczyznę o dostojnym wyglądzie, w dobrze dopasowanym garniturze.

I wtedy przyszła mi niespodziewanie myśl. Tak bardzo często patrzymy na ludzi, którzy nam usługują, jedynie przez pryzmat „zielonych butów”, czyli przysłowiowej podłogi. Nie widzimy tych ludzi, albo częściej nie zwracamy na nich uwagi, a skupiamy się tylko na ich pracy. Dlatego bardzo często widzimy efekty różnych usług personelu szpitalnego, ale nie dostrzegamy ludzi, którzy je wykonują. Każdy chciałby, aby jego otoczenie błyszczało czystością, aby wszędzie był porządek. Ktoś jednak za to odpowiada i ta osoba jest ważniejsza, niż nasze oczekiwania wobec jej pracy. Docenić człowieka. Tak naprawdę, to tylko Bóg „widzi” serce, które ludzie wykonujący najprostsze czynności w szpitalu, wkładają w swoją pracę. Nie patrzymy jednak tylko „na zielone buty” – symbol prostych czynności opiekuńczych, higienicznych, ale na człowieka, który je nosi, czyli wykonuje te czynności.

Posługa „zielonych butów”: jak bardzo ważny jest to element szpitalnej rzeczywistości wiedzą przede wszystkim pacjenci. Zmyta podłoga, opróżnione i wyczyszczone kubły na śmieci; gdzieś z sali rozlega się wołanie: Siostró, poproszę „kaczkę”. Ludzie, którzy wykonują te proste czynności „zielonych butów”, nie potrzebują tak bardzo naszej wdzięczności, choć zawsze jest to miłe, bo jak wszyscy pracujący otrzymują za swoją pracę wynagrodzenie. Każdy z nich potrzebuje natomiast uszanowania jego godności człowieka. Jak to zrobi każdy z nas, jak to okaże, zależy tylko od nas. To jest swoisty sprawdzian naszej wrażliwości, naszej kultury, naszego *savoir-vivre*.

A propos posługi „zielonych butów”. Przypomniała mi się pewna opowieść o kobiecie, żonie i matce, która po śmierci stanęła „w kolejce do niebieskich drzwi”. Stojąc, słyszy wypowiedane przez Klucznika Niebieskiego zasługi ludzi zapraszanych do wejścia do nieba. Jeden z nich to męczennik, który życie oddał za Chrystusa, inny to świątobliwy kapłan, który całe życie służył pokornie ludziom, jeszcze inny to sławny naukowiec, który nie tylko miał wiedzę, ale był też mądrym i dobrym człowiekiem, jeszcze inny to lekarz, następny to... Podchodzą kolejni kandydaci do nieba, a biedna kobieta myśli sobie: Nie mam żadnych zasług i trudno mi będzie przekroczyć niebieską bramę. Wreszcie staje przez Niebieskim Klucznikiem, a On zaprasza ją słowami: Pięknie pracowałaś koszule swego męża, wejdź do radości wiecznej.

MIŁOŚĆ MATKI

Oddziały szpitalne dla wielu ludzi mają w sobie dużo oznak domowego życia. Stają się do nich podobne podczas posiłków, a najbardziej nocą, kiedy większość pacjentów śpi, a ci którzy nie mogą spać, cicho leżą na swoich łóżkach, skupiając się na poszukiwaniu choć odrobiny ciepła obecności drugiej osoby. I wtedy wielu z nich może przyjść na myśl Maryja, Matka Jezusa. Jej obrazki znajdują się często przy łóżkach pacjentów. Obecność matki, każdej matki, daje człowiekowi poczucie bycia w domu, w rodzinie, wśród bliskich. W szpitalnej samotności natomiast jedyną, prawdziwą ulgą jest przywoływanie matki, która przynosi miłość, ale jest również źródłem wiary w sens życia. I to wyraża się w tęsknocie za obecnością przy Maryi, Matce Jezusa.

Maryja potrafi być dla każdego człowieka matką. Najpierw przez miłość, bo umie kochać taką samą miłością nie tylko tych, którzy na miłość zasługują, potrzebują jej, proszą o nią, ale również tych, którzy na nią nie zasługują, nie potrzebują, wręcz uciekają przed nią.

Maryja jest też obecna przy każdym człowieku, gdy staje się dorosłą osobą i wydaje mu się, że odpowiada sam za siebie. Dojrzewanie człowieka

to jednak proces, który trwa przez całe życie i wiąże się z poczuciem samotności. Człowiek nie może być sam, dlatego ciągle poszukuje obecności innych. Rzeczywista obecność kochających osób nie jest jednak w stanie zapełnić samotności związanej z dojrzewaniem. Tylko dyskretna obecność Maryi daje poczucie spokoju. Tego właśnie doświadczają chorzy w szpitalu.

Najczęściej na chorobę patrzymy jak na nieszczęście. Jest to naturalne odczucie. Potrzebna jest jednak refleksja, aby w chorobie dostrzec pozytywny element dojrzewania. Mam wrażenie, że w każdym człowieku chorym budzi się taka potrzeba. Jest to bowiem jeden z koniecznych elementów nadania sensu chorobie. Bez względu na stan człowieka chorego, na różne uwarunkowania zewnętrzne i wewnętrzne, potrzebuje on obecności Matki. Dokonuje się tu swoisty proces odwrócenia znaczeń, bez naruszenie ról. Żeby kochać Maryję, uznać ją za swoją Matkę, wcale nie trzeba rezygnować z miłości do matki rodzonej. Więcej nawet, bardzo często w tę miłość do matki, która jest naszą rodzicielką, włącza się miłość do Matki, która pozwala człowiekowi dojrzewać do pełnej Miłości.

Ogromne wrażenie zrobiła na mnie opowieść o niezwykłym zajęciu, jakim jest przygotowywanie zmarłych do pogrzebu. Ta historia jest prawdziwa, ale zrelacjonuję ją dla potrzeb tej refleksji na swój sposób. Opowiada kobieta, która pracuje w zakładzie pogrzebowym i ma różne, czasem niezwykle doświadczenia. Raz miała przygotować do pogrzebu młodą kobietę. Dowiedziała się od rodziny, że była matką trójki dzieci. Kiedy ją przywieźli do zakładu, poddana została zwyczajnym procedurom przygotowywania ciał zmarłych. Gdy ją ubrano i złożono w trumnie, okazało się, że z jej oczu płyną łzy. Nie można było tych oczu zamknąć, nie pomagały też inne zabiegi. Przez cały czas z jej oczu płynęły łzy. I wtedy, jak wspomina ta pracownica zakładu pogrzebowego, zaczęła się za nią modlić. Odmawiała wielokrotnie modlitwę: „Zdrowaś Maryjo”. Nigdy do tej pory nie modliła się za żadnego z „klientów” zakładu. Nie była też szczególnie pobożną osobą. Jednak modlitwa za tę młodą kobietę, matkę trójki dzieci, sama płynęła z jej serca. Następnego dnia łzy przestały płynąć. I ta prosta kobieta stawia pytania, na które sama nie potrafi sobie odpowiedzieć: dlaczego ta kobieta płakała po śmierci? Czy to w ogóle możliwe, aby coś takiego mogło się stać? Jak to wytłumaczyć, że następnego dnia, po jej modlitwach, łzy przestały

płynąć? Na żadne z tych pytań ta kobieta nie mogła znaleźć odpowiedzi, ale też nikt nie umiał jej na te pytania odpowiedzieć.

Przytaczam tę historię, aby zatrzymać się przez chwilę na tajemniczy miłości matczynej. Czy łzy, które płynęły z oczu tej zmarłej matki to były łzy tęsknoty, żalu, cierpienia? Czy też łzy radości, szczęścia, miłości? Może w tym momencie należałoby przywołać słowa J. Słowackiego z poematu *Anhelli*: „Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstać; trumna nas odda, lecz nie spojrzysz na nas jak matka”. Skłonny byłbym twierdzić, że ta matka płacząca żegnała się tymi łzami ze swoimi bliskimi, zwłaszcza z dziećmi, a jednocześnie tymi samymi łzami radości witała Maryję, która spojrzała na nią, jak Matka na matkę.

Obrazek Maryi przy łóżku pacjentów tak wiele może wyrażać. Nie każdy pacjent umieszcza tam swój obrazek. Jest to często obrazek, który został tam pozostawiony przez pacjenta, którego już dawno tam nie ma. To jest jednak bez znaczenia, kto i kiedy ten obrazek umieścił. Każdy następny pacjent, patrząc na niego, widzi Maryję, Matkę, która jest matką tego, który ją w ten sposób uczcił i jest matką jego, bo patrzy na niego jak matka na swoje najukochańsze dziecko.

Maryja ma tak wiele tytułów, nazw, honorów – stąd tyle jej wizerunków: obrazów, figur, płaskorzeźb. Ktoś został przez Maryję w szczególny sposób powołany, ale to nie ma znaczenia. Miejsce, które obrała sobie Maryja staje się prawdziwym domem i tak się czują ci, którzy tam przybywają. Tak też jest i z obrazkami przy łóżkach pacjentów. Tam, gdzie jest matka, jest dom, jest rodzina, jest miłość, jest szczęście, jest nadzieja, jest życie.

Kiedyś znalazłem pewną myśl, która mnie zachęciła do podjęcia własnej refleksji. „Ludzie chcą tylko poprawiać świat, ale matki chcą polepszać całe swoje rodziny: to bardzo trudne zadanie. Dopiero wtedy, kiedy sama stałam się matką, zrozumiałam, jak bardzo poświęcała się dla mnie moja matka; dopiero wtedy zrozumiałam, jak cierpiała, kiedy byłam nieposłuszna; dopiero, kiedy stałam się matką, zrozumiałam, jak bardzo była dumna, kiedy mi się coś udawało. Dopiero, kiedy stałam się matką, zdałam sobie sprawę, jak bardzo moja matka mnie kochała” (V. Farnsworth).

Mądra, pouczająca refleksja. Każda kobieta doświadcza swojego macierzyństwa nie tylko rodząc dzieci, ale również wtedy, gdy odkrywa

w sobie powołanie macierzyńskie. To byłoby takie proste, gdyby matka była po prostu matką. I tak się dzieje, kiedy kobieta decyduje się na urodzenie dziecka. I kiedy czuje się matką nie tylko opiekując się dzieckiem, wychowując je, ale również towarzysząc mu. Matki często powtarzają swoim dzieciom: będę twoją matką do końca życia, mojego lub twojego.

Sprawa nie jest jednak taka prosta i łatwa do przedstawienia. „Związek matki z dzieckiem jest paradoksalny i w pewnym sensie tragiczny – twierdzi Erich Fromm. Wymaga jak najintensywniejszej miłości ze strony kobiety, a miłość ta ma dziecku pomóc wyswobodzić się od niej, aby stać się w pełni niezależną osobą”. Dlatego tak naprawdę matka staje się dopiero matką wtedy, gdy pozwala dziecku oddalić się, odejść. Ten paradoks można przyjąć tylko wtedy, gdy matka jest pewna, że przy jej dziecku jest Matka, która potrafi kochać miłością pomagającą dojrzewać, wzrastać, rozwijać się, aby osiągnąć pełnię życia w wieczności. Pięknie oddają to słowa Dony Maddux Cooper: „Gdy byłaś mała i na odległość ręki, osłaniałam cię kocem przed zimnym powietrzem nocy. Teraz, gdy jesteś dorosła daleko ode mnie, składam dłonie i osłaniam cię moją modlitwą”.

I na koniec jeszcze garść mądrości, które powinny znaleźć się obok obrazków Matki Bożej przy łóżkach pacjentów, z tym zastrzeżeniem, że staną się też częścią refleksji nad miłością matki: „Jeżeli Bóg posiada swój ołtarz w sercu matki, to ma swą świątynię w całym domu” (Johann Michael Sailer); „Zanim się poczęłaś, już ciebie pragnęłam; zanim się urodziłaś, już ciebie kochałam; byłeś godzinę na świecie, gotowa byłam umrzeć za ciebie – to właśnie cud miłości” (Maureen Hawkins); „Moim zadaniem jako matki jest zatroszczyć się o to, co możliwe, i powierzyć Bogu to, co niemożliwe” (Ruth Bell Graham); „Kiedy matka odwróci oczy od swojego dziecka dziecko zaczyna błądzić i ginie w świecie pozbawionym miłości i ciepła” (Tadeusz Różewicz, *Matka odchodzi*); „Dzieci potrzebują miłości – szczególnie wtedy gdy na nią nie zasługują” (Henry David Thoreau). „Matka, jak Pan Bóg, może kochać wszystkie swe dzieci, każde z osobna i każde najwięcej” (Zofia Kossak, *Dziedzictwo*); „Jest jedna miłość, która nie liczy na wzajemność, nie szczędzi ofiar, płacze a przebacza, odepchnięta wraca – to miłość macierzyńska” (Józef Ignacy Kraszewski). Amen.



Rozdział
VIII

**„TU, GDZIE JESTEM, MUSZĘ NAJPIERW
PRZEŻYĆ KAŻDY DZIEŃ OD NOWA”
– krótka refleksja o miłosierdziu**

Od miłości matczynej prosta droga prowadzi do miłosierdzia. Wskazuje na to jedno z wyrażen służących dla określenia miłosierdzia w Starym Przymierzu. Słowem tym jest: *rahamim* – wskazuje ono na miłość matczyną (*rehem* = łono matczyne). Z tej najgłębszej, pierwotnej bliskości, łączności i więzi, jaka łączy matkę z dzieckiem, wynika szczególnie do tegoż dziecka stosunek, wyjątkowa miłość. Można o niej powiedzieć, że jest całkowicie darmo dana, niezasłużona, że w tej postaci stanowi ona jakąś wewnętrzną konieczność: przymus serca. Na tym podłożu psychologicznym *rahamim* rodzi całą skalę uczuć, a wśród nich dobroć i tkliwość, cierpliwość i wyrozumiałość, czyli gotowość przebaczenia (Jan Paweł II, Encyklika *Dives in misericordia*, n. 4).

Przechadzając się po korytarzach szpitalnych, zaglądając ukradkiem do sal chorych, można zauważyć przy łózkach pacjentów obrazek Jezusa Miłosiernego. Po kanonizacji przez św. Jana Pawła II siostry Faustyny Kowalskiej, sekretarki Jezusa Miłosiernego, ten obrazek stał się również po części darem narodu Polskiego dla ludzkości, dla całego świata. Czy

nie za górnolotnie to zabrzmiało? Myślę, że znalazłbym bardzo wiele osób potwierdzających tę prawdę, zwłaszcza tych, którzy znajdowali ten obrazek w najbardziej odległych zakątkach świata, często zupełnie zapomnianych przez ludzi.

Dla mnie, wykształconego teologa, który zajmuje się teologią stosowaną, jest to również wyzwanie badawcze: co ludzie myślą o Jezusie Miłosiernym? Patrząc na ten problem z perspektywy szpitalnego łóżka znalazłem najkrótsze określenie miłosierdzia: jest to miłość Stwórcy, który nie dopuści, aby jakakolwiek krzywda stała się stworzeniu, także stworzonemu z miłości człowiekowi, którego obdarzył życiem. Bóg związał się bowiem jako Stwórca szczególną miłością ze swoim stworzeniem. Do natury tej miłości należy to, że nie może ona nienawidzić i pragnąć zła tego, kogo raz sobą obdarzyła: „niczym się nie brzydzisz, co uczyniłeś” (Mdr 11, 24) – (Jan Paweł II, Encyklika *Dives in misericordia*, n. 4).

Jak zatem zrozumieć sytuację choroby, cierpienia i śmierci, które zawsze są niezasłużone przez człowieka? W szpitalu, człowiek stając wobec śmierci, zwłaszcza kiedy odchodzą ludzie młodzi, a szczególnie gdy umiera dziecko, zadaje sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego tak wcześnie? Jest to oczywiście uzasadnione pytanie, którego wymowa dotyczy nie tylko długości życia, ale też wprost sensowności życia i bezsensu śmierci. To pytanie: dlaczego? nabiera mocy, gdy mamy do czynienia ze śmiercią dziecka jeszcze przed narodzeniem. Może to być śmierć niezależna od decyzji rodziców, bo dziecko umiera w łonie matki z przyczyn obiektywnych, chociażby dlatego, że współczesna medycyna nie jest w stanie skutecznie przeciwdziałać wszystkim chorobom okresu płodowego (samoistne poronienie). Dzisiaj lekarze mają już do dyspozycji takie procedury medyczne, niedawno odkryte, które ratują życie wielu dzieciom jeszcze w łonie matki. W niektórych przypadkach jednak współczesna medycyna jest bezsilna.

To pytanie: dlaczego? można by także włożyć w usta tych dzieci, które decyzyją rodziców, a w wielu wypadkach decyzyją jedynie matki, zostają zabite przed narodzeniem. Bardzo często w tych decyzjach, niezmiernie trudnych nie tylko od strony moralnej, ale również od strony medycznej, uczestniczą lekarze, gdy po badaniach prenatalnych okazuje się, że dziecko będzie nieuleczalnie chore. Zdarza się, że lekarze muszą też

rozstrzygnąć między ratowaniem życia matki a koniecznością ratowania życia dziecka nienarodzonego. Trudno byłoby w tym miejscu pochylić się nad wszystkimi kazusami dotyczącymi decyzji ratowania życia dziecka czy też pozbawienia życia tych dzieci, których współczesna medycyna nie jest w stanie wyleczyć w łonie matki, albo utrzymać dziecko przy życiu już po jego przyjściu na świat (aborcja eugeniczna). Jest tylko jedna prawda dotycząca wartości życia człowieka: każde poczęte dziecko, niezależnie od jego kondycji fizycznej, ma prawo do życia. Nikt zatem, ani rodzice, ani lekarze, ani prawnicy nie mają prawa tego daru życia odbierać żadnemu dziecku.

To pytanie musi jednak paść, bo ono wzmacnia wymowę każdego przypadku aborcji z powodów eugenicznych, zdrowotnych, społecznych czy kryminalnych (dziecko poczęte w wyniku gwałtu): dlaczego zabija się w łonie matki dzieci zdrowe? Jeśli ktoś uzna odpowiedź na to pytanie, będzie miał określoną normę dla formułowania odpowiedzi dotyczących różnych sytuacji medycznych, społecznych, czy prawnych i w ogóle wszystkich. A odpowiedź na to pytanie brzmi: zabija się w łonie matki zdrowe dzieci, bo ich się nie kocha. Jeżeli bowiem ktoś nie potrafi pokochać zdrowego dziecka, jak pokocha dziecko wymagające szczególnej troski i opieki?

Ten problem ma również inny wymiar. Namyslałem się nad nim dużo wcześniej, ale dopiero w szpitalu znalazłem satysfakcjonującą mnie odpowiedź. Chodzi bowiem nie tylko o długość życia człowieka, ale generalnie o bycie człowiekiem. Czy długość życia może decydować o tym, kim jestem, lub kim będę, lub kim mógłbym być? Jeżeli uznaje się, że jest jakaś średnia życia człowieka (np. miarą życia człowieka jest lat siedemdziesiąt, a osiemdziesiąt, gdy jesteśmy mocni; por Ps 90, 10), to czy każdy, kto nie dożyje tego wieku jest „stratny”? Czy może mieć znaczenie to, że ktoś umiera jako człowiek młody, inny jako sędziwy starzec, a inny jako dziecko, a jeszcze inny umiera przed narodzeniem? I tutaj znowu pojawia się to pytanie w kontekście miłosierdzia: dlaczego Stwórca dopuszcza, aby niektórzy ludzie nie mieli szansy przeżycia całego życia ziemskiego, aby stać się w pełni sobą? To z pewnością jest niesprawiedliwe, ale czy można to chociaż pogodzić z miłosierdziem?

Pomocą w poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie stała się historia, którą usłyszałem od pewnej siostry zakonnej, gdy odwiedziła mnie w szpitalu, a którą to historię zapamiętałem tylko w dużym stopniu ogólności, dlatego teraz opowiem ją w mojej autorskiej formule.

W zakładzie opiekuńczo-wychowawczym, w którym pracowały siostry zakonne, było wielu chłopców wymagających troskliwej opieki. Każdy był traktowany indywidualnie, każdy kochany tak samo, każdemu stawiane były te same wymagania. Nie zmieniało to faktu, że każdy z nich był inny i ta inność często była przyczyną różnych kłopotów opiekuńczo-wychowawczych.

Jeden z chłopców, Marek, nie różniąc się zbyt od innych, był jednak szczególnie traktowany przez siostry, bo ujmował je swoim niezwykłym zachowaniem. Należał do tych najbardziej „ruchliwych” i często niesfornych dzieci. Był więc nieraz przez siostry upominany. Kiedy takie upomnienie otrzymywał, wtedy wstawał, kłaniał się i mówił: „dziękuję, proszę siostry”. Miał przy tym taką niewinną minę i uśmiechał się tak uroczo, że serce na ten widok miękło. Siostry jednak nigdy nie wiedziały, dlaczego on dziękuje: czy za to, że nie został surowo ukarany przez siostry, chociaż na to zasługiwał; czy też dziękował za to, że czuł się tym upomnieniem wyróżniony; czy też dziękował, aby otrzymać od siostry przebaczący uśmiech; czy też dlatego, że naprawdę czuł się winny i był to gest szczerzego żalu? Ile więc razy był upominany, on wstawał, patrzył w oczy siostry, uśmiechał się i mówił: „dziękuję, proszę siostry”. Po tym wyznaniu przez krótki czas był spokojny, aby znowu, nie panując nad swoją nadpobudliwością w zachowaniu, zasłużyć na upomnienie, na które reagował słowami: „dziękuję, proszę siostry”.

Miał on też dar bardzo trafnych stwierdzeń. Kiedyś, słuchając bajki o królownie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach, gdy była mowa o tym, że zła królowa postanowiła zgładzić królowę Śnieżkę, za to, że była od niej piękniejsza, powiedział z rozbijającą szczerością: – Ta zła królowa zamiast serca miała zwykły flak bez kości.

Marka wszyscy lubili i wydawało się, że on też wszystkich lubi. Nie spodziewanie ten chłopiec zachorował. Z początku objawy nie wyglądały groźnie, ale wkrótce okazało się, że jego choroba jest nieuleczalna i nie

ma dla niego ratunku. Choć lekarze mu o tym nie mówili, on domyślał się, że musi umrzeć. Może to właśnie był powód tego, że stracił swoją naturalną radość, a na jego twarzy coraz częściej widać było smutek, a nawet pojawił się strach. Marka odwiedzali koledzy, długie godziny przy jego łóżku spędzały siostry, ale on zdawał się ich nie zauważać.

Kiedys jedna z sióstr, Cherubina, siadła przy jego łóżku. Byli sami w pokoju. Wzięła go za rękę, pochyliła się nad nim i wycelowowała go po policzkach. Później długą chwilę milcząc, patrzyła na niego, a z jej oczu płynęły łzy. Wreszcie szeptem, do ucha powiedziała do niego:

– Mareczku, czy ty się czegoś boisz?

– Tak – odpowiedział – boję się śmierci.

– Opowiedz mi o tym? – zapytała siostra Cherubina.

– Dziękuję, że Siostra mnie o to poprosiła. Już dawno miałem ochotę opowiedzieć komuś pewną historię z mojego życia. Kiedys zaopiekowałem się małym pieskiem. Znalazłem go na ulicy, pod płotem. Wcześniej widziałem, jak potrącił go samochód. Nie mogłem mu pomóc. Patrzyłem na niego, słyszałem cichy jęk, widziałem krew. Głaskałem go i milczałem, a moje ciche łzy spadały na niego. Byłem sam przy nim. Nikt inny się nim nie zainteresował. Poczułem, jak bardzo jestem mu w tej chwili potrzebny. I wtedy poczułem, że coś mnie boli w środku. I przyszła mi taka myśl: chciałbym, aby ktoś był blisko mnie, kiedy ja będę umierał.

– Proszę siostry – mówił dalej Marek. Ja teraz wiem, że na Siostrę czekałem.

– Mareczku, czy bałeś się wtedy, gdy byłeś blisko tego pieska, który cierpiał? – zapytała siostra Cherubina.

Marek chwilę się zastanowił.

– Tak. Bałem się i czułem ból w środku.

– Czy teraz też się boisz i cierpisz? – zapytała siostra Cherubina.

– Tak przeżywam to samo, co wtedy.

– Mareczku, a czy spojrzawsz temu pieskowi w oczy, kiedy głaskałeś go i byłeś blisko niego, i płakałeś?

– Proszę Siostry, ja te oczy pamiętam do dzisiaj, bo ja cały czas w nie patrzyłem.

– A co wtedy widziałeś i co czułeś?

– Czułem, że te oczy mówią do mnie: dziękuję. Siostra teraz wie, dlaczego ja zawsze mówię: dziękuję, kiedy siostry zwracają mi uwagę, gdy źle się zachowuję. Ja się wtedy czuję, jak ten cierpiący piesek.

– Mareczku, jesteś dobrym dzieckiem i to ja chcę ci teraz powiedzieć: dziękuję, jestem przy tobie blisko. Spójrz mi w oczy.

Marek patrzył w oczy siostry Cherubiny i czuł, że przestaje go boleć w środku i zamiast płynących łez w jego oczach zapalił się promień radości.

Po kilku tygodniach choroby Marek zmarł. Dla wszystkich była to trudna chwila. Odszedł od nich ktoś bardzo bliski, ktoś, kogo wszyscy lubili, dlatego tak bardzo im go brakowało. Poza tym był jeszcze dzieckiem, a musiał umrzeć. Jego śmierć przeżywały głęboko także siostry, dla których był jak anioł radości.

Minęło kilka miesięcy i któregoś poranka siostra Cherubina opowiedziała swój sen z ostatniej nocy. Przyśnił się jej ten zmarły chłopiec, Marek. Był w gromadce innych dzieci. Uśmiechnięty, radosny, bawił się z nimi. Zapytała go, czy jest już w niebie i czy jest szczęśliwy? Wtedy powiedział do niej: „Jeszcze nie jestem w niebie. Tu, gdzie jestem muszę najpierw przeżyć każdy dzień od nowa”. Zapytałam go, czy spotkał tam tego pieska, którym się zaopiekował. On tylko spojrział na mnie i nic nie powiedział, ale ja w jego oczach widziałam i słyszałam, i czułam słowa: „dziękuję, proszę siostry”.

Gdy usłyszałam tę historię pomyślałam sobie: co za wspaniała teologia wieczności. Zanim przejdzie się do szczęśliwego życia na wieki, trzeba na progu wieczności każdy dzień „stworzyć” na nowo – „nowe stworzenie”. Stwarzanie nowego życia to szansa dla każdego człowieka. Również dla tych, a może przede wszystkim dla tych, którzy nie mogli albo nie potrafili w pełni korzystać ze swego życia na ziemi. W wiecznej szczęśliwości może żyć tylko ten człowiek, który jest doskonałością stworzenia, stał się w pełni człowiekiem. Bóg daje więc każdemu człowiekowi, przed wejściem do wiecznej szczęśliwości, możliwość przeżycia jeszcze raz całego życia ziemskiego na progu wieczności, aby ono się wypełniło i stało doskonałym życiem.

To człowiek kształtuje życie, a nie życie człowieka. Życie ziemskie ma bezcenną wartość, ale to nie od niego zależy wieczność. U progu

wieczności każdy może, a właściwie będzie musiał przeżyć każdy dzień swojego życia jeszcze raz. Nieważne więc, ile dni człowiek przeżył od poczęcia. Każdy będzie miał szansę przeżycia całego, pełnego życia i każdego dnia od nowa; nawet tych dni, których nie przeżył na ziemi, bo jego życie skończyło się zbyt wcześnie. To jest właśnie „stwarzanie” życia ziemskiego na progu wieczności.

Nikt zatem nie jest zapomniany przez Boga. Każdy człowiek: czy to pozbawiony życia w okresie płodowym, czy dożywający późnej starości, będzie przeżywał na progu wieczności każdy dzień od nowa, będzie przeżywał całe swoje życie. Ci, którym nie dano się narodzić nic więc nie tracą ze swojego życia. Człowiek będzie mógł bowiem stworzyć każdy dzień na progu wieczności od nowa i będzie to takie samo życie, jak każdego, który się narodził i przeżył całe swoje życie na ziemi. W wieczności nie ma bowiem różnicy w długości życia przeżytego na ziemi i każdy będzie miał własne życie w całości, jakie otrzymał od Boga w darze. Bo człowiek w wieczności będzie sobą, czyli tą osobą, jaką stworzył Bóg i dał jej w darze życie. Bycie sobą oznacza zatem bycie tym człowiekiem, którego stworzył Bóg, jedynym i niepowtarzalnym, którego Bóg powołuje do bycia człowiekiem niezależnie od tego, ile lat przeżyje na ziemi. Dlatego człowiek staje się sobą nie tylko w życiu ziemskim, ale każdy ma szansę stać się w pełni sobą również na progu wieczności, ma szansę dorosnąć, dojrzeć, stać się nowym stworzeniem, aby mieć pełny udział w wiecznej szczęśliwości.

To Bóg daje więc człowiekowi w darze życie, które się nie kończy, ale przemienia (zob. Prefacja ze mszy św. za zmarłych). Jakość życia ziemskiego i jakość życia przeżywanego na progu wieczności jest dla człowieka taka sama, bo wszyscy przeznaczeni są do osiągnięcia pełni życia i bycia nowym stworzeniem. I ci, którzy dożyli sędziwej starości i ci, którym nie pozwolono się narodzić na ziemi przez śmierć, otwierają się na wieczność; śmierć wprowadza każdego człowieka do nowego życia. I to śmierć, jak mówi mądrość ludowa, zrównuje wszystkich ludzi. Ona bowiem daje szansę dorosnąć i dojrzeć każdemu człowiekowi.

Jednak do pełnego zrozumienia tej prawdy potrzebna jest jeszcze teologia miłosierdzia, która otwiera nową perspektywę spojrzenia na życie

ziemskie i na śmierć. Sprawiedliwość śmierci nie polega bowiem na tym, że wszyscy umierają, aby mogli przejść do wieczności; sprawiedliwość śmierci polega na tym, że ona niczego nie kończy, ale pozwala każdemu człowiekowi na progu wieczności przeżyć na nowo każdy dzień swojego życia. Każdy człowiek, wraz z darem życia, otrzymał bowiem szansę stać się indywidualną, niepowtarzalną, dojrzałą osobą i nowym stworzeniem. Dla niektórych jednak szansą na osiągnięcie dojrzałości jest przeżywanie całego życia dopiero na progu wieczności. Ale jest to takie samo życie, jak ziemskie, i człowiek staje się sobą i nowym stworzeniem niejako w innym wymiarze: pomiędzy ziemską rzeczywistością a wiecznością. Stwórca miłosierny nie pozwoli bowiem, aby człowiek, który otrzymał od Niego w darze swoje życie doznał jakiejś krzywdy.

Patrząc w perspektywie miłosierdzia człowiek przestaje zatem szacować życie ilością przeżytych lat na ziemi i przestaje też bać się śmierci, bo ona jest tylko „przejściem” do wieczności, czyli do życia bez końca. Powstaje jednak kolejne pytanie: czy przeżywanie u progu wieczności jeszcze raz wszystkich dni swojego życia „ziemskiego” na pewno pozwoli człowiekowi przemienić samego siebie? Uszczegółowiając problem można zapytać: Jeśli dziecko poczęte zostało zabite w łonie matki, czy przeżywając swoje „ziemskie” życie na progu wieczności będzie mogło stać się jak każdy człowiek w pełni człowiekiem, rozwinąć swoje zmysły, korzystać ze swoich talentów, realizować swoje pomysły, zaspokajać potrzeby? I dalej: czy taka osoba będzie przeżywać tylko to, co dobre, czy też doświadczy zła, które jest skutkiem grzechu pierworodnego? Nikt z ludzi, oprócz Niepokalanej Maryi, nie jest wolny od zmyy grzechu pierworodnego. Życie „ziemskie” dziecka, któremu nie pozwolono się narodzić, może stać się pełnym życiem tylko dzięki miłosierdziu Jezusa. To Jezus uczy nas, że na życie dziecka poczętego, ale nienarodzonego patrzeć należy w perspektywie miłosierdzia. Co to oznacza?

Życie każdego człowieka, bez względu na jego długość, ma sens jedynie w perspektywie miłosierdzia Jezusa i szczęśliwej wieczności. Samo życie „ziemskie” nie determinuje zatem osoby ludzkiej. Życie człowieka na ziemi ma pomóc mu stać się „nowym” człowiekiem w Jezusie. Przeżycie więc na progu wieczności jeszcze raz całego życia sprawia, że człowiek staje

się „nowym stworzeniem” i otwiera się przed nim szczęśliwa wieczność. Jest to wezwanie dla każdego człowieka, aby podjął ostateczną, wolną decyzję: czy być w pełni osobą, która oddaje się Miłosiernemu Jezusowi i pragnie być „nowym stworzeniem” na szczęśliwą wieczność? Czy skazać się na niekończące się przeżywanie swojego „ziemskiego”, zmysłowego życia w wieczności? W podjęciu tej ostatecznej decyzji pomaga pacjentom w szpitalu Jezus Miłosierny, który jest przy nich obecny w znaku, jakim jest Jego czcigodny Obraz.

Można by jeszcze zapytać: Co tak intymnego ma do powiedzenia Jezus Miłosierny pacjentom w szpitalu? Jezus Miłosierny błogosławi człowieka, odkrywając dla niego serce wypełnione miłością. Kiedy więc człowiek choruje, kiedy cierpi, kiedy umiera, zaczyna doświadczać miłości Stworzyciela do stworzenia i wtedy zmienia się perspektywa patrzenia na siebie, na swoją osobę i na swoje życie. Dzięki miłosierdziu Jezusa człowiek zaczyna pojmować, że w życiu „ziemskim” najmniejsze znaczenia ma choćby najbardziej przenikliwe i najbardziej współczujące spojrzenie na zło moralne, fizyczne czy materialne. W takim granicznym dla człowieka momencie życia doświadcza on prawdy o Miłosierdziu Bożym, które objawia się jako dowartościowywanie, jako podnoszenie w górę, jako wydobywanie dobra spod wszelkich nawarstwień zła, które jest w świecie i w człowieku (Jan Paweł II, Encyklika *Dives in misericordia*, n. 6).

Chciałbym te prawdy o Bogu bogatym w miłosierdzie przybliżyć poprzez doświadczenie. Mam u siebie w warszawskim mieszkaniu w gabinecie dwa obrazy. Nad biurkiem wisi obraz przedstawiający „Ostatnią Wieczerzę”. Centralną postacią na nim jest Jezus, któremu na piersi spoczywa św. Jan, obok którego jest św. Piotr. Przed momentem padło pytanie: „kto zdradzi Jezusa?”. Po drugiej stronie Jezusa jest postać Judasza, który wymownym gestem dłoni wskazuje na siebie, stawiając pytanie: „czy to ja Mistrzu?”.

Św. Jan Paweł II nauczał, że miłosierdzie samo w sobie, jako doskonałość nieskończonego Boga, jest również nieskończone. Nieskończona więc i niewyczerpana jest też gotowość Ojca w przebaczeniu i przyjmowaniu synów marnotrawnych wracających do Jego domu. Żaden grzech ludzki nie przewyższa tej mocy ani jej nie ogranicza. Ograniczyć ją może tylko

od strony człowieka brak dobrej woli, brak gotowości nawrócenia, czyli pokuty, trwanie w oporze i sprzeciwie wobec łaski i prawdy, a zwłaszcza wobec świadectwa krzyża i zmartwychwstania Chrystusowego (Jan Paweł II, Encyklika *Dives in misericordia*, n. 13).

Ten obraz z Ostatniej Wieczerzy może więc być najlepszą ilustracją do tej teologii miłosierdzia ujętej skrótowo. Czy stajesz po stronie Jana i Piotra, aby skorzystać z nieskończonej gotowości i mocy przebaczenia samego Jezusa? Czy stajesz po stronie Judasza, człowieka, który odrzuca miłosierną miłość Jezusa?

Niepełna byłaby to jednak teologia miłosierdzia bez obrazu Jezusa Miłosiernego. Ten obraz jest bowiem przesłaniem do każdego człowieka. Na nim jest tylko postać Jezusa i po Jego stronie prawej lub lewej jest miejsce dla każdego z nas. Można oczywiście widzieć tu miejsce po prawicy Jezusa dla tych, którzy przyjęli Jego Ewangelię i żyli nią, a po lewicy miejsce dla tych, którzy Go „zdradzili” i odrzucili Jego Ewangelię. Wydaje się jednak, że można jeszcze inaczej spojrzeć na ten obraz.

W mojej rodzinnej parafii Miłosierdzia Bożego w Kaliszu, w której decyzją Biskupa Diecezjalnego Stanisława Napierały kościół stał się Diecezjalnym Sanktuarium Miłosierdzia, w ołtarzu głównym znajduje się ogromna mozaika przedstawiająca w centrum Jezusa Miłosiernego, a po jego lewej stronie umieszczone są postaci świętych okryte jasnymi promieniami uzdrawiającej wody, a po prawej osoby „nieświęte”, na które spływają promienie krwi Jezusa Miłosiernego z Jego Serca.

Kiedy patrzę na mój obraz Jezusa Miłosiernego, stają mi przed oczyma czcigodne stare kościoły, do których wchodząc przez główne drzwi, przechodzi się przez kruchtę. Kruchta to miejsce „ciemne”, przedsionek, z którego widzi się „jasność” kościoła, na końcu którego znajduje się ołtarz główny, najczęściej dobrze oświetlony przez światło wpadające przez okna. Patrząc na mój obraz widzę postać Jezusa Miłosiernego wyłaniającego się z „ciemności”, jakby z „kruchty”, z którego serca wychodzą dwa strumienie: czerwony i biały oświetlające Jego Osobę. Pod stopami jest napis: „Jezu ufam Tobie”. I to jest dopiero pełna, najkrótsza teologia miłosierdzia; ze słowami tej modlitwy może utożsamiać się cały człowiek, który albo idzie jeszcze przez „ziemskie” życie, albo staje już

u progu wieczności. Nie jest jednak sam, bo jest przy Jezusie Miłosiernym, który prowadzi go z „kruchty” ziemskiego życia do świątyni światła i szczęścia. Najpiękniejsze w tym obrazie Jezusa Miłosiernego jest to, że nikt nie jest odepchnięty od Jezusa. Słowa modlitwy: „Jezu ufam Tobie”, należałoby wypełnić treścią słów, które Jezus wypowiada do człowieka pytającego Go o życie wieczne: do Jezusa „przybiegł pewien człowiek i upadłszy przed Nim na kolana, pytał Go: «Nauczycielu dobry, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?» Jezus mu rzekł: «Czemu nazywasz Mnie dobrym? Nikt nie jest dobry, tylko sam Bóg»” (Mk 10, 17–18). Jezus w swoim miłosierdziu jest otwarty na każdego człowieka nie dlatego, że jest dobry, ale dlatego, że został stworzony przez Ojca. Grzech, pierwotny, który zniszczył pierwotną dobroć stworzenia, wprowadził w życie człowieka śmierć, ale jednocześnie otworzył go na miłosierdzie Boże. Dlatego życie, śmierć, i miłosierdzie stanowią nierozłączną triadę. Jak należy czytać i rozumieć jej znaczenie przybliży nam hymn Godziny Czytań z soboty VII tygodnia Wielkanocnego:

1. Królu odwieczny wszechświata
I Zbawco całej ludzkości,
Twoje zwycięstwo nad śmiercią
Otworło łaski podwoje.
2. Dzisiaj wstępujesz do nieba,
By zasiąść z Ojcem na tronie;
On Ci na wieki przekazał
Władanie wszelkim stworzeniem.
3. Wszystko, co żyje na ziemi,
Napełnia Otchłani i niebo,
Tobie poddane na zawsze,
Przed Tobą zgina kolano.
4. Drżą aniołowie zdumieni
Odmianą losu człowieka:
Ciało obmyte z przewiny
Króluje w Słowie Wcielonym.

5. Ty jesteś, Chryste, radością,
Nagrodą nam obiecaną;
Świata całością kierujesz,
Poskramiasz złudy doczesne.
6. Przeto prosimy Cię, Panie,
Byś wszystkim grzechy przebaczył,
Serca pociągnął ku Tobie
Przez łaskę z nieba wylaną.
7. Kiedy zaś przyjdiesz nas sądzić
Wśród chmur płonących czerwienią,
Daruj nam karę należną
I przywróć godność straconą.

Odniosę się tylko do słów: „Drżą aniołowie zdumieni odmianą losu człowieka: ciało obmyte z przewiny króluje w Słowie Wcielonym” – z tych słów wynika, że Jezus dla człowieka, który utracił pierwotną dobroć przez grzech, przyjął ludzkie ciało prawdziwe we Wcieleniu, wolne jednak od zmyślenia grzechu pierwotnego. Dzięki Wcieleniu i chwalebnej śmierci, i zmartwychwstaniu Jezus w miłosierdziu swoim obmywa ciało każdego z nas, abyśmy mieli uczestnictwo w Jego królowaniu na wieczność. Zostaje nam zatem przywrócone przez miłosierdzie Jezusa pierwotne dobro stworzenia. Człowiek musi jednak odpowiedzieć na to miłosierdzie, dlatego na progu wieczności każdy przeżywa jeszcze raz każdy dzień swojego życia na nowo.

W tym miejscu jeszcze raz chciałbym przytoczyć słowa z opowiedzianej wcześniej historii o Marku, „radosnym chłopcu”: „Tu, gdzie jestem, muszę najpierw przeżyć każdy dzień od nowa”. Tak, każdy dzień „ziemskiego” życia trzeba przeżywać od nowa tu i teraz: korzystając ze zmysłów tworzyć swoje codzienne życie „ziemskie”. Kiedy jednak przechodzi się przez śmierć, to na progu wieczności trzeba jeszcze raz przeżyć każdy dzień: i ten wypełniony doświadczeniem zmysłowym i ten, który jest każdemu z nas przeznaczony, bo jest częścią naszego życia, a nie został przeżyty na „ziemi”.

Długość życia „ziemskiego” nie ma zatem znaczenia. Każdy swoje życie jeszcze raz przeżyje w promieniach Jezusa Miłosiernego, które odkryją zmysłowe doświadczenia, niedoskonałe i domagające się wypełnienia ich Miłością Miłosierną. I te doskonałe, których istnienia być może nikt z nas się nie domyślał, a które promienie Miłości Miłosiernej odkryją i wydobędą na światło, aby dopełnić obraz naszej osoby, aby nas „stworzyć” na nowo, abyśmy do końca stali się kochającymi siostrami i braćmi Jezusa już na szczęśliwą wieczność.

Nie dziwię się, że przy łóżkach pacjentów często znajdują się obrazki Jezusa Miłosiernego. Nawet nie znając teologii można, patrząc na ten znak, modlić się słowami: „Jezu ufam Tobie”. I to jest prawdziwa teologia Miłosierdzia „klęcząca” i „modląca się”. A taka modlitwa pozwala przeżywać każdy dzień na nowo, bez lęku, z nadzieją, z radością, z miłością.

SZPITAL – NADZIEJA W ŻYCIU I W ŚMIERCI

Szpital uczy pokory wobec tajemnicy życia. Szpitalna rzeczywistość jest też najbardziej sprzyjającym miejscem na rozmyślenie o sensie śmierci, bo towarzyszy tej refleksji nadzieja, której źródłem jest zdrowie i odradzające się życie. Pacjenci w szpitalach potrzebują małych i większych nadziei, które dzień po dniu podtrzymują ich w drodze. Mają one jednak sens dopiero w połączeniu z nadzieją chrześcijańską, wielką nadzieją, którą może być jedynie Bóg. Chrześcijańska nadzieja, choć mieści w sobie psychologiczną skłonność duszy do trudno osiągalnego dobra, na płaszczyźnie nadprzyrodzonej jest darem pochodzącym od Boga, który towarzyszy osobie wierzącej w drodze do życia wiecznego. Jest to zatem cnota typowa dla człowieka-pielgrzyma, który wierzy w Boga i życie wieczne, ale jeszcze nie dostał wizji uszczęśliwiającej. Nadzieja pozwala człowiekowi przekroczyć granicę życia i śmierci.

Co daje człowiekowi nadzieja chrześcijańska? Przede wszystkim z wielkiej nadziei człowiek czerpie nadprzyrodzony optymizm w spojrzeniu na świat i życie. Nadzieja jest również źródłem wytrwałości w pokonywaniu wszelkich trudności życiowych. Wreszcie nadzieja daje człowiekowi

możliwość trwania w umiarkowaniu, dzień po dniu, bez utraty zapału, który daje nadzieję w świecie ze swej natury niedoskonałym. Te prawdy doskonale ilustruje współczesna przypowieść. Kryzys mocno dawał się we znaki. Wszyscy w rodzinie mieli ściśnięte gardła. Ojciec rodziny stracił pracę i poszedł na zasiłek dla bezrobotnych. Od tego czasu w domu mówiło się tylko o tym, na czym da się jeszcze zaoszczędzić. Pewnego dnia podczas kolacji panowało przykre milczenie. Nikomu nie chciało się rozmawiać. Nagle mama klasnęła w dłonie, zwracając tym uwagę całej rodziny.

– Wstajemy i wychodzimy na dwór. Zdziwieni, wyszli za mamą z mieszkania do niewielkiego ogródka.

– Spójrzcie w niebo! – poleciła mama.

Wszyscy spojrzeli w górę. Olbrzymia, czarna, aksamitna kopała pulsowała żywymi, migoczącymi gwiazdami. Patrząc na nie można było doznać zawrotu głowy, jak gdyby ten połyskujący pułap chciał porwać wszystkich w bezkresny wir. Poczuli się tacy mali. Przytulili się do siebie, zastygając w uścisku. Owładnięci tym niewiarygodnym widowiskiem, odżyli: wszystko było takie ogromne, bezkresne, że traciło się poczucie czasu. Otwierały się umysły, a serca napełniały nową odwagą. Niebo wyglądało niczym wielka reklama nadziei.

– Gwiazdy są widoczne nocą – tak po prostu powiedziała mama” (B. Ferrero, *Gwiazdy są widoczne nocą*, Warszawa 2013).

Taką reklamą nadziei jest też każdy cmentarz, gdyż jest nieogarnionym światem, jest symbolem życia i śmierci, śmiertelności i wieczności. Każdy cmentarz, zwłaszcza oglądany w uroczystość Wszystkich Świętych, jest też jak wielka reklama nadziei na życie wieczne. Wielokolorowe światło lampionów, olśniewające kolorami i zachwycające kształtami kwiaty na grobach przyciągają wzrok. Nawet w ten dzień jest głośniejsze na cmentarzu, bo ludzie chcą cieszyć się nie tylko swoją obecnością, ale też rozmową.

Jest to zatem reklama, choć wielu boi się jej prawdziwej wymowy. Każdy przeczuwa bowiem, że aby poznać smak prawdziwego życia, trzeba dotknąć, doświadczyć śmierci. Obecność na cmentarzu, kiedy groby przybrane są kwiatami i lampionami, pozwala zobaczyć Życie Wieczne, można powiedzieć: pozwala dotknąć życia bez cierpienia, łez, bólu. Okazuje się jednak, że nie tak łatwo ludzie chcą w tę reklamę uwierzyć.

Przychodząc na cmentarz ludzie szukają bowiem czego innego. Chcą uwierzyć, że istnieje prawdziwe życie wieczne. Czy jest to możliwe? Czy można uwierzyć w życie wieczne, patrząc na groby swoich najbliższych?

Żeby uwierzyć, trzeba najpierw doświadczyć bogactwa prawdziwego życia i jednocześnie bólu śmierci. Jest to możliwe poprzez modlitwę za zmarłych. Sam nieraz pytam siebie: czym jest modlitwa za zmarłych i jaki ma sens? Przypomina mi się wtedy historia chłopca, który został zwycięzcą „konkursu na najlepsze dziecko roku”. Jego sąsiadem był ponad osiemdziesięcioletni mężczyzna, któremu niedawno umarła żona. Kiedy chłopiec zobaczył tego mężczyznę, jak siedział w swoim ogrodzie i płakał, poszedł do niego, usiadł mu na kolana i długo siedział.

Kiedy wrócił do domu, mama zapytała go, co powiedział temu biednemu staruszkowi?

– Nic – odpowiedział chłopiec. – Jego żona umarła, a on bardzo cierpi z tego powodu. Ja tylko usiadłem z nim i pomogłem mu płakać (B. Ferrero, *Gwiazdy są widoczne nocą*, Warszawa 2013).

Modlitwa za zmarłych, bliskich zmarłych, wygląda podobnie. To tak, jakbyśmy pomagali im płakać. Zmarli, którzy są w czyśćcu, opłakują swoje straty. Opłakują swoje małe i duże grzechy. Płaczą nad kłamstwami, które wyszły z ich ust, nad złością, zazdrością, gniewem, lenistwem, niechęcią. Ten katalog zmarnowanych szans bycia dobrym może być bardzo długi i zmarli cierpią, opłakując swoje straty. Ale można płakać z nimi, można pomagać im płakać i to jest dla nich prawdziwa ulga i najlepsza pomoc. Oni na nią czekają, ona jest im najbardziej potrzebna. Kiedy modlimy się za zmarłych, to właśnie wtedy pomagamy im płakać.

Nasi bliscy zmarli, potrzebujący naszej modlitwy, a także święci, którzy osiągnęli szczęśliwą wieczność mogą dać odpowiedź na najważniejsze pytanie: na czym polega tajemnica świętości, a tym samym szczęśliwego, błogosławionego życia? Jest na to pytanie sensowna odpowiedź: choć wszyscy, którzy nas otaczają, wydają się pewni siebie, to jednak jesteśmy im potrzebni.

Wielu ludzi wątpi w wartość modlitwy za zmarłych i jej sens. Oni są już po drugiej stronie i nic nas z nimi nie łączy! Czy na pewno? Chcesz być szczęśliwy? Pomyśl, że jesteś innym potrzebny. Zacznij od tych swoich

bliskich zmarłych, których już nie ma przy tobie. Jesteś im potrzebny. Tak niewiele wymagają od ciebie. Chociaż raz w roku jednej, zamówionej w ich intencji mszy św., zamówionych wypominek, okazjnych odwiedzin na cmentarzu i modlitwy w ich intencji, codziennego wspomnienia o nich w modlitwie wieczornej. Pomyśl – oni tego potrzebują; twoim bliskim zmarłym jesteś potrzebny.

A nasi święci? My też jesteśmy im potrzebni. Kiedy modlimy się za ich wstawiennictwem, wyznajemy jednocześnie wiarę w Boga Ojca i Syna, i Ducha Świętego, w Kościół, świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie i żywot wieczny; modląc się za wstawiennictwem świętych wyznajemy wiarę w Prawdy Ewangelii i błogosławieństwa Jezusa, które dla nich były drogą do świętości.

W modlitwie naszych zmarłych nazywamy tak, jak za życia. Modlimy się bowiem za zmarłych przywołując ich imiona. Jeśli jednak ktoś mówi, że zmarła osoba jest mu bliska, to nie może o niej pamiętać tylko raz w roku. Nie musisz odwiedzać codziennie cmentarza, chociaż jest to zwyczaj chwalebny i godny pochwały. Chodzi o to, aby codziennie modlić się za swoich bliskich zmarłych, przedstawiając Bogu imienne modlitwy.

Modlitwa za zmarłych staje się modlitwą chrześcijańską, gdy wypływa z serca wypełnionego miłością. Człowiek, który kocha swoich bliskich zmarłych, może się modlić za nich, bo on wierzy, że jego bliscy zmarli żyją nadal, choć ich życie się zmieniło. To „zmienione życie” zmarłych oznacza, że są piękni, radośni, szczęśliwi, promienni, uśmiechnięci, zadowoleni, pogodni, spokojni. W sercu człowieka żyjącego na ziemi jest miejsce tylko dla zmarłych, których człowieczeństwo zachwyca, pociąga.

Jeśli natomiast, mimo upływu czasu, w sercu tkwi strach, bolesny żal, smutek i przygnębienie – to znaczy, że taka miłość do zmarłej osoby bliskiej jest tylko życzeniem. Miłość musi żyć – żyjąca miłość sprawia, że bliska, zmarła osoba wypełnia serce szczęśliwą obecnością. Zmarłego można zobaczyć, można usłyszeć, ale tylko wtedy, gdy przywołujemy jego obecność miłością, której źródłem jest nadzieja życia wiecznego. Tęsknota, żal, smutek, ból z powodu utraty osoby najbliższej muszą więc z czasem ustąpić miejsca miłości. Kiedy tak się stanie, każda modlitwa za zmarłych będzie spotkaniem z nimi, a jednocześnie najpiękniejszą lekcją

nadziei. W wielkiej nadziei można bowiem doświadczyć tej niezwyklej jasności myślenia – poczuć, że można wykonać najtrudniejsze zadania: zrozumieć każdy język, pojąć całą wiedzę ze wszystkich nauk, przeniknąć tajemnice kosmosu. W tym stanie można doświadczyć, że nie ma rzeczy niemożliwych, że wszystko można objąć swoim umysłem, pomieścić w swoim sercu. Modlitwa zaczyna wtedy zdumiewać spokojem wpływających chwil. A kiedy serce wypełni się beztróskim wyczekiwaniem, wtedy obecność bliskich zmarłych można odczuć, gdyż liczy się wówczas tylko miłość. W modlitwie za zmarłą, bliską osobę pojawia się naturalna potrzeba, aby jej wyznać: Czy mówiłam ci już dzisiaj, że cię kocham?

Wielka nadzieja, wywodząca się od Chrystusa, sięga poza kres doczesności, a równocześnie jednak przenika życie ziemskie. Nadzieja chrześcijańska, choć ma eschatologiczny cel, jest ściśle związana ze szczęściem i pomyślnością w doczesnym życiu. Można nawet powiedzieć, że dopiero nadzieja nieba rodzi autentyczną troskę o dobrobyt ludzi już tu i teraz. Dlatego „nadzieja eschatologiczna nie pomniejsza doniosłości zadań ziemskich, lecz raczej wspiera ich spełnianie nowymi pobudkami. Natomiast przy braku fundamentu Bożego i nadziei życia wiecznego godność człowieka [...] doznaje bardzo poważnego uszczerbku, a zagadki życia i śmierci, winy i cierpienia pozostają bez rozwiązania, tak że ludzie nierzadko popadają w rozpacz” (Sobór Watykański II, Konstytucja o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes*, n. 21).

Nadzieja chrześcijańska nie zakłada więc ucieczki od świata ani rezygnacji z pełnej realizacji ziemskiej egzystencji, lecz pokazuje otwarcie na transcendentny wymiar życia wiecznego, bo tylko ono nadaje życiu ziemskiemu prawdziwą wartość. Także tu jawi się jako element wyróżniająca chrześcijan, fakt, że ONI MAJĄ PRZYSZŁOŚĆ: nie wiedzą dokładnie, co ich czeka, ale ogólnie wiedzą, że ich życie nie kończy się pustką. Tylko wtedy, gdy przyszłość jest pewna jako rzeczywistość pozytywna, można żyć w teraźniejszości. Chrześcijańska nadzieja nie tylko informuje, ale również sprawia. Oznacza to, że nadzieję można poznać intelektualnie, ale również można jej doświadczyć, gdyż ona tworzy fakty i zmienia życie człowieka.

„Ponawiam zatem wezwanie, by odnaleźć najgłębsze znaczenie dnia Pańskiego: należy go święcić udziałem w Eucharystii oraz odpoczynkiem

w atmosferze chrześcijańskiej radości i braterstwa. Niech będzie obchodzony jako centrum całego kultu, nieustanna zapowiedź życia bez końca, która umacnia nadzieję i dodaje otuchy w drodze. Nie obawiamy się zatem bronić go przed wszelkimi atakami i dokładać starań, aby w organizacji pracy był on postrzegany jako dzień dla człowieka, z pożytkiem dla całego społeczeństwa. Bowiem gdy niedziela zostaje pozbawiona swojego pierwotnego znaczenia i nie można przeznaczyć jej na modlitwę, odpoczynek, komunię i radość, dochodzi do tego, że «horyzont człowieka staje się tak ciasny, że nie pozwala mu dojrzeć, nieba!». Nawet odświętnie ubrany, nie potrafi już «świętować». A bez wymiaru świętowania nadzieja nie miałaby gdzie mieszkać (Jan Paweł II, Adhortacja apostolska *Ecclesia in Europa*, n. 82).

Nasi zmarli potrzebują nas, ale my też ich potrzebujemy. Nasi bliscy zmarli mają bowiem nową rodzinę, do której zapraszają swoich żyjących bliskich. Jest to najpierw rodzina świętych, którzy żyją w bliskości Boga, w niebie. Ta rodzina to również dusze czyścicowe. Jeśli więc chcemy być z naszymi zmarłymi w stałym kontakcie, to powinniśmy modlić się nie tylko za swoich zmarłych, ale także polecać wszystkie dusze czyścicowe Miłosierdziu Bożemu. Można za zmarłych modlić się prosząc o szczególne wstawiennictwo ich świętych patronów, a także zanosić modlitwy za zmarłych prosząc o wstawiennictwo przed Bogiem swoich patronów. To jest prawdziwe świętych obcowanie. Taka modlitwa, w której są obecni nasi zmarli, święci patronowie i dusze czyścicowe jest prawdziwą modlitwą Kościoła, której moc pochodzi od Chrystusa Miłosiernego.

Ta nowa rodzina jest trochę dziwna, bo wszyscy w niej mówią szepcąc. Dlaczego?

Kiedyś zapytałem swoich studentów:

- Dlaczego ludzie zagniewani krzyczą?
- Krzyczą, gdyż tracą cierpliwość – odpowiedział jeden z nich.
- Krzyczą, bo w ten sposób odstraszą drugą osobę, swojego wroga – odpowiedział inny.
- Krzyczą, bo się boją – stwierdził jeszcze inny.
- Ale dlaczego krzyczysz, kiedy druga osoba stoi blisko ciebie, przy tobie? – dalej pytałem swoich studentów.
- Krzyczymy, bo w ten sposób wyrażamy swoje emocje.

– Krzyczymy, bo chcemy, aby druga osoba nas usłyszała – powiedział ktoś inny.

Były jeszcze inne odpowiedzi, ale żadna z nich mnie nie przekonała. Wtedy ja przedstawiłem im swoją koncepcję.

– Wiecie, dlaczego człowiek zdenerwowany krzyczy na innych? Oto, gdy dwie osoby są rozgniewane na siebie, ich serca oddalają się od siebie. Mogą być nawet bardzo blisko siebie myślami, słyszą i widzą drugą osobę, nawet rozumieją, co mówi, ale ich serca są oddalone. Krzyczą więc nie do umysłu, do rozumu, ale do serca, które i tak nie usłyszysz, bo jest „daleko”. Dlatego im bardziej ludzie są zagniewani, tym głośniej krzyczą i wreszcie przestają słyszeć i siebie, i drugą osobę.

A co się dzieje, gdy dwie osoby są zakochane? One nie krzyczą, ale mówią do siebie po cichu, często szeptem. Dlaczego? Bo ich serca są bardzo blisko siebie. Odległość między nimi jest mała. Czasami są tak blisko siebie, że przestają mówić i tylko milczą, bo ich serca są połączone w miłości. Wtedy słowa są niepotrzebne, bo wystarczy bycie razem. Tak się dzieje, gdy dwie osoby się kochają.

Gdy się modlicie za swoich zmarłych bliskich, nie pozwólcie, aby wasze serca oddaliły się od nich, bo wtedy wasza modlitwa, wasze słowa będą niesłyszalne (bo będziecie zachowywali się „głośno”). Jeśli modlicie się za swoich zmarłych bliskich, wejdźcie do ich nowej rodziny. Tam są święci, szczęśliwi, błogosławieni, radośni, rozpromienieni dobrocią i miłością Boga. Są też tam cierpiący w czyśćcu, którym można pomóc, polecając ich Miłosierdziu Bożemu. Modlitwa za zmarłych to rodzinne spotkanie, to chwila oddechu, to radość płynąca z nadziei. Modlitwa za zmarłych uczy czulej miłości.

Kto często modli się za zmarłych, poleca Miłosierdziu Bożemu dusze czyśćcowe umie też kochać tych, którzy żyją. Potrafi mówić szeptem; nawet kiedy się pokłóci, to trzyma się blisko drugiej osoby, aby czuć ciepło jej serca.

Zmarłych nie można zobaczyć, nie można usłyszeć, nie można dotknąć, ale można ich kochać. Niech ta miłość będzie tak prawdziwa, jak ta co łączy ludzi żyjących. Pozwólcie się zaprosić także do tej nowej rodziny swoich bliskich zmarłych. W takiej rodzinie można świętować i życie, i śmierć, która jest narodzinami do nowego życia. W takiej ro-

dzinie jest nadzieja, która może podnieść człowieka z każdego upadku. W takiej rodzinie jest miłość, która trwa w wieczności. W takiej rodzinie jest Bóg, który jest Miłosierdziem.

Ta nowa rodzina naszych bliskich zmarłych jest też jak zwierciadło, w którym można zobaczyć oblicze swojej ziemskiej rodziny. Czy kłóćcie się ze sobą, trzymając się w objęciach? Czy potraficie szeptem wymawiać imiona ukochanych osób? Czy mówicie sobie na co dzień: Kocham cię? Czy modlicie się za siebie nawzajem?

Ludzie, którzy się kochają, chcą być ze sobą. Kiedy już przyjdzie czas, to odejdziesz od swoich bliskich, pozostawisz swoją ziemską rodzinę. Ale nie odejdziesz w pustkę. Pójdziesz do nowej rodziny, która będzie na ciebie czekać. Tam spotkasz tych zmarłych, świętych i cierpiących w czyśćcu, których nauczyłeś się kochać w ziemskim życiu. To jest Boża rodzina, w niej spotkasz miłosiernego Jezusa, który zaprasza swoich braci i siostry do szczęśliwego życia w wieczności. Dzięki tej rodzinie nikt nie jest sam, a to jest właśnie jedyny sposób, aby błogosławieństwo Jezusa wydało owoc: błogosławieni są ci, którzy nie idą do nieba sami, ale w rodzinie Bożej. Pozwól, by Jezus zmartwychwstały wszedł do twojego życia i aby wprowadził cię do tej nowej rodziny.

Nauczycielka, uśmiechając się szeroko, zapytała, wskazując na rysunek:

– Z czego są zrobione gwiazdy?

– Ze światła – z przekonaniem odpowiedział Andrzej, sam zdziwiony tym, co mówi.

– A dlaczego? – spytała zachwycona nauczycielka.

Mam popatrzeć na syna, który wzrokiem poszukiwał od niej odpowiedzi, której nikt nie zna.

– Dlaczego Andrzejku? – zapytała łagodnie.

– Bo ziemia jest pełna ciemności (na podstawie: B. Ferrero, *Gwiazdy są widoczne nocą*, Warszawa 2013, s. 3–4).

Czasami myślę, że również szpitale są jak gwiazdy zrobione ze światła i gdy ktoś patrzy na Ziemię z kosmosu, to widzi je jako jasno świecące punkty. Szpitale są potrzebne, ale jest ich za mało, aby wszyscy się w nich pomieścili, dlatego marzy mi się, aby cała Ziemia na moment stała się „szpitalem”, aby cała stała się światłem prawdziwej miłości.

MODLITWA W SZPITALNEJ RZECZYWISTOŚCI

Zanim zaproszę Czytelników do medytacji nad wartością krzyża Jezusa, chciałbym zatrzymać się chwilę przy modlitwie. Moim zdaniem do końca nie jest prawdą twierdzenie niektórych ludzi, że chorzy w szpitalu dużo czasu spędzają na modlitwie. Moje doświadczenie szpitalne podpowiada mi, że chorzy nie tyle modlą się w szpitalu, co bardziej modlą się szpitalną codziennością. Wyjaśni się to w dalszej części tej refleksji o modlitwie.

Modlitwa ma swoje źródło w samym Bogu, ale spotkanie i rozmowa z Nim są możliwe tylko przy czynnym udziale człowieka jako istoty posługującej się wszystkimi władzami intelektualnymi, uczuciowymi i zmysłowymi. Modlitwa jest bowiem aktem religijnym całego człowieka, w którym wypowiada swoją miłość do Boga – Stwórcy i Zbawiciela. Dialog modlitewny jest wspólnym działaniem Boga i człowieka.

Inicjatywa dialogu i pierwszy impuls do modlitwy pochodzi od Boga, a człowiek odpowiada na to w miarę swoich ludzkich możliwości. Przy uwzględnieniu jednak prawdy, że Bóg i człowiek różnią się tak bardzo, nasuwa się zasadniczy problem: czy działanie, a szczególnie słowo ludzkie,

jest w stanie spowodować „połączenie” pomiędzy Bogiem a człowiekiem? Połączenie takie jest możliwe jeżeli uwzględni się fakt, że podłożem dialogu modlitewnego jest uprzednie zjednoczenie Boga i człowieka w spotkaniu osób, które dokonało się w akcie stworzenia. Można powiedzieć, że dzięki stworzeniu zaistniała swego rodzaju przestrzeń modlitwy, w której Bóg spotyka się i rozmawia z człowiekiem.

Spotkanie i dialog Boga i człowieka można jednak nazwać modlitwą dopiero wtedy, gdy jest prowadzony na płaszczyźnie nadprzyrodzonej, kiedy to angażują się duchowe wyposażenia człowieka. Dotyczy to cnót Boskich (włanych) – wiary, nadziei i miłości – z jednej strony, a z drugiej – darów Ducha Świętego. Cnoty Boskie dają człowiekowi nadprzyrodzone światło rozumu i nadprzyrodzoną aktywność woli, gdyż są promieniowaniem łaski uświęcającej. Dzięki nim wszystkie czynności moralnie dobre, a przede wszystkim działania związane z dialogiem modlitewnym, zostają podniesione na poziom nadprzyrodzony. Natomiast dzięki darom Ducha Świętego człowiek ma możliwość doświadczenia mistycznego, w którym Bóg wzywa go do większej bliskości i głębszej wspólnoty. Wymaga to ze strony człowieka oczyszczenia, wyzwolenia z uwikłań świata i całkowitego zwrócenia się ku Bogu.

Ilustracją tego może być historia pewnego człowieka dotkniętego bolesnym doświadczeniem. Po kolejnej wizycie u lekarza dowiedział się, że choroba, na którą cierpi, jest nieuleczalna. Świadomy swojego stanu, mąż i ojciec, był strasznie wzburzony. Jego umysłem zaczęły targać różne myśli a sercem negatywne uczucia, a nawet na usta cisnęły mu się bluźnierstwa. To była złość, gniew. Gdy to minęło, pojawił się strach i lęk. Zaczął myśleć o swojej rodzinie, o żonie i dzieciach, męczył go strach o ich przyszłość. Jak sobie dadzą radę beze mnie – moja ukochana żona, moje dobre dzieci? Strach podchodził mu aż do gardła. Do zgody wewnętrznej z wolą Bożą doszło nagle i niespodziewanie. Wieczorem, gdy jak zwykle uklęknął do modlitwy pacierzowej i spojrzął na krzyż, przed którym zawsze się modlił, nagle doznał olśnienia. Ten krzyż wydawał mu się zupełnie nowym, jakby go pierwszy raz widział. Jakby jakimś światłem oświecony dostrzegł, że Jezus, który wisi na krzyżu, jest tak bardzo do niego podobny. W Chrystusie zobaczył siebie. Tak doszło

do cudownego zbliżenia ze Zbawicielem. Przypomnił mu się werset z Listu św. Pawła do Galatów: „Jestem ukrzyżowany z Chrystusem”. To przyniosło mu ulgę, dodało odwagi i umożliwiło dalsze życie pomimo krzyża, który tak nagle spadł na niego (za ks. S. Pisarkiem).

Okazuje się więc, że dzięki współpracy między Bogiem i człowiekiem modlitwa przybiera formę dialogu nadprzyrodzonego, który prowadzi chrześcijanina do zatopienia się w Bogu, upodobnienia do Niego. Taki modlitewny dialog, dotykając wnętrza osoby ludzkiej, zmienia jego życie i rozpoczyna cały proces doskonalenia się i rozwoju. Dzięki modlitwie nadprzyrodzonej, w której istotnym elementem jest doświadczenie mistyczne oparte na Darach Ducha Świętego, chrześcijanin zmienia swój pogląd na świat, gdyż potrafi odpowiedzieć na wcześniej skierowane do niego słowo Boże.

Ściśle rzecz ujmując trzeba stwierdzić, że modlitwa chrześcijańska w swej istocie nie ma określonej formy, gdyż od zawsze w bezkształtny sposób żyje w sercu człowieka. Nabiera ona konkretnych kształtów, gdy człowiek poprzez wiarę przyjmuje Chrystusa za swojego Zbawiciela, pragnie nawiązać z Nim kontakt, aby wyrazić swoje poddanie oraz połączyć się z Nim osobowo. Podstawą modlitwy chrześcijańskiej jest zatem nawiązanie duchowej łączności z osobą Jezusa Chrystusa.

Doświadczenie uczy nas, że istnieją różne rodzaje modlitwy: modlitwa indywidualna lub wspólnotowa, prywatna lub publiczna, liturgiczna lub wywodząca się z pobożności ludowej, modlitwa myślna lub wyrażona słowami. Modlitwa przybiera też różne formy w przeżyciach człowieka, jego zachowaniach, w słowach i gestach, a także w treści.

Określenie modlitwy jako rozmowy z Bogiem sugeruje, że jej najczęstszym wyrazem jest słowo. Słowa w modlitwie są jednak tylko zewnętrznym kształtem myśli, wyrazem uczuć, ale wartość modlitwy ustnej płynie z wewnętrznego poruszenia duszy skierowanej ku Bogu. Modlitwa ustna może przybierać różne formy. Raz będzie to modlitwa własnymi słowami, najbardziej osobista, a przy tym spontaniczna. Innym razem będzie to modlitwa cudzymi słowami. Niektóre pochodzą od pobożnych ludzi, a inne wprost z Objawienia – na szczególną uwagę zasługują tu Psalmi i Modlitwa Pańska, a także Pozdrowienie Anielskie.

I wreszcie będą to formuły oparte na powtarzaniu i trwaniu, do których zaliczyć można różaniec, litanie, Anioł Pański, akty strzeliste. Swoistą formą modlitwy ustnej jest również śpiew pieśni pobożnych. Modlitwa ustna przyjmuje też różne formy ze względu na zawarte w niej treści. Szczególnie do tego rodzaju modlitwy odnosi się podział na modlitwę uwielbienia, dziękczynienia, prośby i przebłagania.

Przedstawione dotychczas rodzaje i formy modlitwy związane są organicznie z czasem poświęconym wyłącznie Bogu. Jest to więc modlitwa w codzienności, czyli modlitwa bezpośrednia, którą charakteryzuje regularność i niezależność od decyzji, nastroju, ochoty czy humoru. Jest to więc modlitwa w określonych okolicznościach i godzinach, jak np. rano i wieczór – modlitwa pacierzowa, po południu – Anioł Pański, modlitwa związana z nauką, pracą, posiłkami. Ogólnie można powiedzieć, że ta modlitwa dokonuje się w różny sposób, ale w określonym czasie, w którym człowiek stara się osiągnąć tylko jeden cel – być z Bogiem. I tu jest właśnie wspomniana na początku tej części trudność. Pacjenci starają się modlić w szpitalu, ale bardzo często nie mają po prostu na to sił.

Czas przestaje odgrywać zasadniczą rolę w modlitwie pośredniej – modlitwie codziennością, również szpitalną. Ponieważ człowiek nie może uwolnić się od codzienności, powinien modlić się codziennością. Każda czynność i każdy stan człowieka może stać się modlitwą przez miłość, która wyznana z głębi serca, objawia się w czynach, aż do momentu, kiedy całe życie staje się modlitwą.

Można w tym momencie przytoczyć prawdziwą receptę na modlitwę codziennością. Pewien kapłan odwiedzając chorego w jego mieszkaniu, zauważył puste krzesło przy łóżku i zapytał po co ono stoi? W odpowiedzi usłyszał: „Zaprosiłem Jezusa, aby zajął miejsce na tym krześle. Rozmawiałem z Nim, zanim ksiądz przyszedł. Proszę księdza, długie lata trudno było mi się modlić, aż pewien przyjaciel wyjaśnił mi, że modlitwa to rozmowa z Jezusem. On też poradził mi, abym obok siebie postawił puste krzesło i wysilił wszystkie zmysły, aby wyobrazić sobie, że na nim siedzi sam Jezus. W ten sposób łatwiej z Nim rozmawiać i wsłuchiwać się w Jego słowa. Od tego czasu nie mam żadnych trudności z modlitwą”. Parę dni później przysłała do tego księdza córka chorego z wiadomością,

że ojciec zmarł. Powiedziała przy tym: „Zostawiłam go na parę godzin samego. Wyglądał bardzo pogodnie, gdy wychodziłam. Gdy wróciłam do domu, ojciec już nie żył. Zauważyłam jednak coś osobliwego: jego głowa nie leżała na łóżku, lecz na krześle obok łóżka. Co to może znaczyć? A znaczenie tego jest bardzo proste – kto jest blisko z Jezusem w swoim życiu, jest z Nim zjednoczony również w śmierci.

Życie modlitwy ma swój własny rytm w życiu chrześcijanina. Podstawowym jest rytm dobowy, oparty na modlitwie pacierzowej, czyli modlitwie porannej i wieczornej. Modlitwa ta stanowi codzienny pokarm życia duchowego i jest najprostszym sposobem nawiązywania łączności z Bogiem w ciągu dnia, dlatego zaniedbywanie jej świadczy o podstawowym braku miłości. Trudno jest jednak określić minimalną miarę modlitwy, gdyż chrześcijanina nie obowiązuje ani określony czas trwania modlitwy, ani ściśle określona formuła modlitewna. W pacierzu wierni najczęściej odmawiają najważniejsze modlitwy chrześcijańskie: Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo, Wierzę w Boga, 10 Przykazań Bożych, a także inne według potrzeby i uznania, np. Aniele Boży, Błogosławieństwa itd. W modlitwie porannej zaakcentowane mogą być prośby o potrzebne łaski i pomoc Bożą w sprawach duchowych i materialnych. W modlitwie wieczornej, która jest też podsumowaniem dnia, dołącza się rachunek sumienia i wspomnienie zmarłych, zwłaszcza bliskich zmarłych, których można wspomnieć imiennie. W czasie modlitwy pacierzowej przed Bogiem staje pojedynczy człowiek, ale jej służebny, rodzinny charakter sprawia, że jest ona również formą uczestniczenia we wspólnej modlitwie Kościoła.

Oprócz określonego rytmu czasu do zewnętrznych warunków modlitwy należy również właściwe miejsce. Jakkolwiek Bóg jest wszechobecny i dlatego można i trzeba modlić się wszędzie, to jednak są pewne miejsca uprzywilejowane i bardziej stosowne do modlitwy. Takimi miejscami są kościoły i kaplice, gdzie obecny jest Chrystus Eucharystyczny. Trzeba jednak szukać też kontaktu z Bogiem w rozgwarze ulic, w czasie pracy, w chwilach odpoczynku, gdy nadejdzie znużenie. O obecności Boga przypominają nam krzyże, kapliczki, obrazy, ale też medalik na szyi i różaniec w kieszeni.

W teologii pojawia się również „modlitwa świata pracy”. Jest to próba połączenia modlitwy z ciężarem życia ludzi pracujących. W takiej modlitwie bez środków i metod chrześcijanin może kontaktować się z Bogiem całą swoją istotą, tak jak potrafi i jak umie. Do Boga prowadzi chrześcijanin ich ludzka działalność, która przez łaskę znajdującą się w człowieku, podnosi ich wytwory do nadprzyrodzonej godności. Przede wszystkim ludzi pracy prowadzi do Boga wiara, nadzieja i miłość. Za pomocą prostych aktów strzelistych, chrześcijanie mogą mężnie stać przed Bogiem, oczekiwać Go, otwierać głębię swej duszy. Niemożność rozmyślenia, pochodząca często z zewnętrznych, materialnych przyczyn, może stać się również, pod działaniem Bożym, prawdziwą drogą do wewnętrznej modlitwy wiary. By zatem uczyć się modlić, trzeba po prostu wciąż na nowo i bez zniechęcenia podejmować próby rozmowy z Bogiem, choćby nie było żadnej odpowiedzi ani widocznych rezultatów. W modlitwie chodzi bowiem przede wszystkim o oddanie czci Bogu oraz o ukształtowanie postawy religijnej, czyli sposobu bycia względem Boga, ale też wobec drugiego człowieka, zwłaszcza bliskiej osoby, a także wobec osób potrzebujących wsparcia i pomocy. To jest również ważne w szpitalnej rzeczywistości, aby modlić się nie tylko za siebie i o swoje wyzdrowienie, ale także za innych chorych i również za lekarzy, pielęgniarki, salowe, sprzątaczkę i inne osoby posługujące chorym.

Modlitwa nie jest przeznaczona tylko dla elity duchowej. Ponieważ wszyscy chrześcijanie powołani są do świętości, wszyscy mają być świadkami i apostołami wiary Chrystusowej. A to jest możliwe przede wszystkim przez żywą modlitwę. Chrześcijanie muszą więc świadomie trwać w zjednoczeniu z Bogiem, aby zawsze być gotowym do wyznania swojej wiary. W szpitalnej rzeczywistości jest to bardzo ważne, aby nie tylko czuć się pacjentem, ale pozostać wiernym uczniem Chrystusa. Tak, jak to było w życiu pewnego młodego katolika. W zakładzie, gdzie pracował, było wielu niewierzących, którzy często mu dokuczali, ale on odważnie i dowcipnie bronił swoich przekonań. Pewnego dnia, podczas przerwy, koleżdy znowu zaczęły mu dokuczać, że trzyma się sutanny księżki, powtarza wszystko za nimi i sam nie wie w co wierzy. Na to młody człowiek odpowiedział: „Ja wam natychmiast powiem, w co wierzę”.

I wśród zdziwionych kolegów powstał i głośno, i wyraźnie zaczął mówić „Wierzę w Boga, Ojca Wszechmogącego...”. Gdy skończył wyznanie wiary, z wielką powagą i stanowczością zapytał swoich kolegów: „Powiedziałem wam, w co ja wierzę, a teraz powiedzcie mi, jaka jest wasza wiara?”. Nikt nie odważył się nic powiedzieć. Kłopotliwe milczenie było jedyną odpowiedzią.

Wyznanie wiary jest też modlitwą; jest nią również sam znak krzyża nie tylko przed, ale także na jej koniec. Piękną modlitwą jest znak krzyża (przeżegnanie się) przed i po jedzeniu, a także przez operacją i po zabiegu. Wyznaniem wiary jest też błogosławieństwo najbliższych, ale również tych osób, z którymi dzielimy szpitalne doświadczenie cierpienia, leczenia i zdrowienia.

KRZYŻ W SZPITALNEJ PRZESTRZENI

Wydawało mi się, że obecność krzyża w szpitalach jest jak najbardziej naturalna. Jest to bowiem miejsce cierpienia, ale też nadziei na wyzdrowienie. Krzyż Chrystusa jest takim właśnie znakiem i cierpienia, które ubogaca, i nadziei, która się spełnia. Krzyż powinien więc być najdroższą relikwią każdego pacjenta w szpitalu. Czy tak na pewno jest? W każdym chrześcijańskim domu jest ta relikwia, ale w szpitalu krzyż wymaga szczególnej czci. Znak krzyża jest najkrótszą formą wyznania wiary, ale również najkrótsza modlitwą. Można też błogosławić znakiem krzyża i to jest prawdziwe źródło obfitych łask Bożych. Nie zauważyłem jednak, aby odwiedzający chorych błogosławili ich znakiem krzyża. Nie widziałem też, aby chorzy żegnali swoich bliskich błogosławieństwem przez znak krzyża.

Natomiast opowiadał mi ks. Jacek, kapelan w szpitalu św. Jadwigi Królowej w Rzeszowie, że jeden ze sławnych kardiochirurgów, kiedy przeprowadzał operację na otwartym sercu, to błogosławił to serce znakiem krzyża, kiedy było zatrzymywane i tym samym błogosławieństwem krzyża błogosławił serce, które na powrót, po operacji było uruchamiane. To

piękny i wymowny gest. Życie jest darem Boga i Jego błogosławieństwo powinno towarzyszyć człowiekowi zwłaszcza w chwilach, gdy to życie jest zagrożone. Chrześcijanie zatem powinni błogosławić znakiem krzyża siebie, innych ludzi, otaczającą rzeczywistość i wszystkie wydarzenia, w których sami biorą udział, lub wobec których nie są obojętni. Chodzi tu o działanie a nie o symbol, albo znak. Chrześcijaninie bowiem, poprzez chrzest otrzymują udział w kapłaństwie Chrystusa, i mocą tego kapłaństwa mogą błogosławić znakiem krzyża przywołując zbawcze owoce Męki Chrystusa na Krzyżu.

Warto pamiętać, że każde wyjście do świątyni jest jak pielgrzymka do krzyża Chrystusowego – najdroższej relikwii naszego Zbawiciela. Wejście do kościoła to także oddanie czci krzyżowi Chrystusa, bo w każdej świątyni jest on obecny i zajmuje miejsce centralne. Oddanie czci Jezusowi w Eucharystii i adoracja Najświętszego Sakramentu ma sens dopiero wtedy, gdy potrafimy uczcić krzyż Chrystusa, na którym dokonano się nasze odkupienie.

Może powinno się również uświadamiać chorych, którzy udają się do szpitala, że to jest również pielgrzymka do miejsca szczególnej czci krzyża Jezusa. Kiedy pacjent znajdzie się w szpitalu, to będzie szukał krzyża, aby oddać mu cześć i przyjąć błogosławieństwo Jezusa. Krzyże zazwyczaj są w salach chorych. Jak dobrze byłoby jednak, gdyby krzyż znajdował się przy wejściu do szpitala, aby chorzy i odwiedzający ich obdarowywali się wzajemnie błogosławieństwem krzyża, które ubogaca miłością, wzmacnia wiarę i budzi nadzieję.

Krzyż pokazuje najgłębsze pochylenie się Boga nad człowiekiem i stanowi jakby dotknięcie odwieczną miłością najsłabszych ran ziemskiej egzystencji człowieka (*Dives in misericordia*, n. 8). W czasie mojego pobytu w szpitalu uświadomiłem sobie jednak, że krzyż nie jest aż tak wyraźnym znakiem cierpienia i nadziei dla pacjentów. Częściej są oni bowiem skupieni bardziej na własnym cierpieniu i poszukują przede wszystkim realnej pomocy medycznej. Każdy pacjent musi więc samemu sobie pomóc w odnalezieniu sensu krzyża Jezusa. Ośmieliłbym się nawet powiedzieć, że przyjazd do szpitala jest również osobistą pielgrzymką do krzyża Jezusa, aby zobaczyć na nowo perspektywę swojego życia. Jest to

również swoiste doświadczenie wiary, odbudowanie nadziei i egzamin z miłości.

Jeśli pobyt w szpitalu jest traktowany jak pielgrzymka do sanktuarium krzyża Jezusa, to człowiek zostaje wtedy ubogacony darem prawdziwej wolnej miłości. Krzyż Jezusa nie narusza bowiem wolności człowieka: on go wiąże w sumieniu, ale nie zmusza. Bóg zważa bowiem na godność osoby ludzkiej, przez siebie stworzonej, która powinna kierować się własnym rozeznaniem i korzystać z wolności. Czy można zatem odrzucić krzyż Chrystusa i wszystko to, co On wniósł w dzieje człowieka? Oczywiście, że można. Człowiek jest wolny. Człowiek może powiedzieć Chrystusowi: nie. Ale pytanie zasadnicze jest takie: czy wolno? I w imię czego wolno? Jaki argument rozumu, jaką wartość woli i serca można przedłożyć sobie samemu i bliźnim, ażeby odrzucić, ażeby powiedzieć „nie” krzyżowi Chrystusa? (Jan Paweł II, *Pielgrzymka do Ojczyzny* w 1979 r.).

Pacjenci w szpitalu potrzebują krzyża, który jest nieodłącznym i istotnym elementem tożsamości chrześcijanina. Bez niego nie jest możliwe autentyczne życie chrześcijańskie, ani cierpienie, ani śmierć. Przyjęcie krzyża bowiem to nieodzowny warunek dla wszystkich, którzy postanawiają konsekwentnie iść za Chrystusem: „Jeśli kto chce iść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech co dnia bierze krzyż swój i niech Mnie naśladuje!” (Łk 9, 23).

Tylko w krzyżu człowiek może też znaleźć prawdziwą odpowiedź na dręczące go pytanie, wyłaniające się z doświadczenia bólu, cierpienia, bezradności, męczeństwa. Wyraził to Prymas Wyszyński w swojej modlitwie, która znajduje się w *Zapiskach*: „Wszystkie drogi Twoje – miłosierdzie i prawda! Cierpienie rozplywa się w doznanej miłości. Kara przestaje być odwetem, bo jest lekarstwem podanym z ojcowską delikatnością. Smutek dręczący duszę jest orką na ugorze pod nowy zasiew. Samotność jest oglądaniem z bliska Ciebie. Złośliwość ludzka jest szkołą milczenia i pokory. Oddalenie od pracy jest wzrostem gorliwości i oddaniem serca. Więzienna cela jest prawdą, że nie mamy tu mieszkania stałego... By więc nikt nie myślał źle o Tobie, Ojczy, by nikt nie śmiał Cię ukrzywdzić zarzutem surowości – boś dobry, bo na wieki miłosierdzie Twoje” (18 I 1954 r.).

Choroba, cierpienie, ból i lęk mogą być zachętą dla pacjenta w szpitalu, aby zechciał uznać siebie za siostrę, za brata Jezusa. Solidarność siostrzano-braterska Jezusa w cierpieniu polega nie na tym tylko, że cierpiał On, tak jak cierpi każdy człowiek, lecz że cierpiał za każdego człowieka. Jego „zastępstwo” (*substitutio*) w cierpieniu oznacza „nadmiar” miłości, która pozwala przewyciężyć wszystkie „braki” (niedomiary) miłości, wszystkie jej negacje i przeciwieństwa związane ze słabościami człowieka. Chorzy często bardzo cierpią z powodu swoich grzechów. Potrzebują więc lekarstwa, którym jest miłość miłosierna. I to właśnie krzyż jest źródłem tej nadobfitej miłości miłosiernej i przebaczącej, która rozlewa się w sercu człowieka zwłaszcza w chwilach trudności i prób. Zło grzechu trzeba zatem zobaczyć w blasku prawdy o krzyżu Chrystusa. Z jednej strony Duch Święty pozwala człowiekowi przez krzyż Chrystusa poznać zło, które zakorzenia się w jego sercu. Z drugiej jednak strony przez krzyż Chrystusa Duch Święty pozwala mu zobaczyć zło w świetle *mysterium pietatis*, czyli miłosiernej, przebaczącej miłości Boga (Jan Paweł II, Encyklika *Dominum et Vivificantem*, n. 32). W świetle miłosierdzia człowiek dostrzega więc, że zło może mu być darowane a grzech odpuszczony, a on sam może odzyskać poczucie godności umiłowanego dziecka Bożego.

Długo poszukiwałem najbliższych sercu człowieka cierpiącego, choćgo, słów o krzyżu. I wreszcie znalazłem. To słowa modlitwy Franciszka na koniec Drogi krzyżowej w Koloseum (25 III 2016): „Krzyżu Chrystusa, symbolu Bożej miłości i ludzkiej niesprawiedliwości, ikono największej ofiary z powodu miłości i skrajnego egoizmu wynikającego z głupoty, narzędzie śmierci i drogo zmartwychwstania, znaku posłuszeństwa i znamię zdrady, miejsce kaźni prześladowań i sztandarze zwycięstwa. Krzyżu Chrystusa, także dzisiaj widzimy, jak wznoszą cię w naszych siostrach i braciach zabitych, żywcem spalonych, zarżniętych czy ściętych barbarzyńskim mieczem i tchórzliwym milczeniem. Krzyżu Chrystusa, także dzisiaj cię widzimy w obliczach dzieci, kobiet i osób wyczerpanych i załknionych, które uciekają przed wojną i przemocą, spotykając często tylko śmierć i tyłu Piłatów umywających ręce. Krzyżu Chrystusa, także dzisiaj widzimy cię w uczonych w literze prawa, ale nie w duchu, specjalistach od śmierci, ale nie od życia, którzy zamiast

uczyć miłosierdzia i życia, grożą karą i śmiercią, i skazują sprawiedliwego. Krzyżu Chrystusa, także dzisiaj widzimy cię w sługach niewiernych, którzy zamiast wyzbywać się swych próżnych ambicji, ogoławają nawet niewinnych z ich godności. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w skamieniałych sercach tych, którzy wygodnie osądzają innych, w sercach gotowych, by skazać nawet na ukamienowanie, nigdy nie zauważając własnych grzechów i win. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w fundamentalizmie i terroryzmie wyznawców pewnych religii, którzy profanują imię Boga i używają go, by usprawiedliwić swą niesłychaną przemoc. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w tych, którzy chcą cię usunąć z miejsc publicznych i wyrugować cię z życia publicznego w imię jakiegoś laickiego pogaństwa czy nawet w imię równości, której Ty sam nas uczyłeś. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w moźnych i w handlarzach broni, którzy podsycają ogień wojen niewinną krwią braci. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w zdrajcach, którzy za trzydzieści srebrników wydadzą każdego na śmierć. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w złoczyńcach i skorumpowanych, którzy zamiast chronić dobro wspólne i etykę, sprzedają się na nędznym targu niemoralności. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w głupcach, którzy budują magazyny, by gromadzić skarby nietrwałe, dając Łazarzowi konać z głodu u swych drzwi. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w dewastatorach naszego «wspólnego domu», którzy egoizmem rujną przyszłość następnych pokoleń. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w ludziach starszych opuszczonych przez swoich krewnych, w niepełnosprawnych i w niedożywionych dzieciach, odepchniętych przez nasze egoistyczne i zakłamate społeczeństwa. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w naszych morzach, Śródziemnym i Egejskim, które stały się nienasyconymi cmentarzyskami, obrazem naszego niewrażliwego i odurzonego sumienia. Krzyżu Chrystusa, obrazie miłości bez końca i drogo Zmartwychwstania, widzimy cię także dzisiaj w ludziach dobrych i sprawiedliwych, którzy czynią dobro nie szukając poklasku i podziwu innych. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w sługach wiernych i pokornych, którzy rozświetlają ciemności naszego życia jak świece, co się spalają bezinteresownie, by oświetlić życie tych, którzy

są ostatnimi. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w obliczach zakonnic i osób konsekrowanych – Miłosiernych Samarytan, którzy pozostawiają wszystko, by w ewangelicznym milczeniu opatrywać rany biedy i niesprawiedliwości. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w miłosiernych, którzy w miłosierdziu znajdują najdoskonalszy wyraz sprawiedliwości i wiary. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w ludziach prostych, którzy radośnie przeżywają swoją wiarę w codzienności i w synowskim posłuszeństwie przykazaniom. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w skruszonych, którzy z głębokości nędzy swych grzechów potrafią zawołać: Panie, wspomnij na mnie w swym Królestwie! Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w błogosławionych i świętych, którzy potrafią przechodzić przez noc wiary, nie tracąc ufności w Tobie i nie domagając się, by zrozumieć Twoje tajemnicze milczenie. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w rodzinach, które przeżywają w wierności i płodności ich małżeńskie powołanie. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w wolontariuszach, którzy wielkodusznie służą potrzebującym i poszkodowanym. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w prześladowanych za swoją wiarę, którzy w cierpieniu nadal dają autentyczne świadectwo Jezusowi i Ewangeli. Krzyżu Chrystusa, widzimy cię także dzisiaj w marzycielach, którzy żyją z sercem dziecięcym i każdego dnia trują się, by świat uczynić miejscem lepszym, bardziej ludzkim i sprawiedliwszym. W tobie Krzyżu Święty widzimy Boga, który kocha aż do końca, i widzimy nienawiść, która panoszy się i oślepia serca i umysły tych, co ciemności przedkładają nad światło. Krzyżu Chrystusa, Arko Noego, któraś ocaliła ludzkość od potopu grzechu, zbaw nas od zła i od złego! Tronie Dawida i pieczęci Bożego i wiecznego Przymierza, przebudź nas z ułudy próżności! Krzyku miłości, wzbudź w nas pragnienie Boga, dobra i światła. Krzyżu Chrystusa, naucz nas, że wschód słońca jest silniejszy niż ciemność nocy. Krzyżu Chrystusa, naucz nas, że pozorne zwycięstwo zła znika w obliczu pustego grobu, wobec pewności Zmartwychwstania i miłości Boga, której nic nie jest w stanie zwyciężyć ani przyćmić czy osłabić. Amen”.

Ta modlitwa jest swego rodzaju „manifestem” Franciszka dla współczesnego człowieka, dla Kościoła i świata. Jest to najpierw introniza-

cja Krzyża Chrystusowego, który jest jedynym, prawdziwym znakiem chrześcijaństwa. Oznacza to, że krzyż powinien zostać wyniesiony do rangi symbolu chrześcijaństwa najpierw w wymiarze życia społecznego. Jest to bowiem znak wiary i jednocześnie streszczenie całej Ewangelii. To prawda, że krzyż można do końca zrozumieć w świetle zmartwychwstania, jednak to nie zmartwychwstanie jest znakiem chrześcijaństwa, ale krzyż Chrystusa. Chrześcijanie mają więc prawo i obowiązek stawiać krzyż w każdym miejscu, gdzie żyją; mają prawo i obowiązek posługiwać się krzyżem bez względu na przekonania innych ludzi z racji religijnych lub ideologicznych. Dla chrześcijan krzyż jest bowiem wyrazem wiary w miłość, która przewycięża śmierć.

W wymiarze indywidualnym życia każdego chrześcijanina krzyż stanowi legitymizację wiary w Chrystusa. Dzięki krzyżowi chrześcijanie mają swoją tożsamość, ale jednocześnie przez cześć dla krzyża wyznają swoją wiarę w Chrystusa zmartwychwstałego. Obowiązkiem każdego chrześcijanina jest więc przyjęcie krzyża jako „pieczęci” Chrystusa zwyciężającego śmierć przez Zmartwychwstanie.

Druga prawda płynąca z tego „manifestu” to personifikacja (uosobienie) krzyża. Nie jest on bowiem tylko znakiem Chrystusa, chrześcijan, ale znakiem każdego, indywidualnego człowieka. Można powiedzieć więc, że krzyż ma twarz każdego człowieka: tego, który żyje zgodnie z prawem Bożym, które jest zapisane w sercu człowieka, i tego, który odrzuca prawo Boże i czyni zło. Tu tkwi również najgłębsza prawda o miłosierdziu, które jest jakby doskonalszym wcieleniem „zrównania” pomiędzy ludźmi, a więc także i doskonalszym wcieleniem sprawiedliwości, o ile ta w swoich granicach dąży również do takiego zrównania. Jednakże „zrównanie” przez sprawiedliwość zatrzymuje się w kręgu dóbr przedmiotowych związanych z człowiekiem, podczas gdy miłość i miłosierdzie sprawiają, że ludzie spotykają się ze sobą w samym „dobru”, jakim jest człowiek z właściwą mu godnością. Równocześnie „zrównanie” ludzi przez miłość nie stanowi zatarcia różnic: ten, kto daje, daje tym bardziej, gdy równocześnie czuje się obdarowany przez tego, kto przyjmuje jego dar; ten zaś, kto umie przyjąć ze świadomością, że i on również przyjmując, świadczy dobro, ze swej strony służy wielkiej sprawie godności osoby, która najgłębiej

może jednoczyć ludzi pomiędzy sobą (Jan Paweł II, Encyklika *Dives in misericordia*, n. 14).

Franciszek w swoim „manifeście” podkreśla jeszcze bardziej „zrównanie” człowieka „dobrego” i „złego”. Papież mówi, że krzyż Chrystusa trzeba wiedzieć w zdrajcach, złoczyńcach, głupcach, dewastatorach, ale też w męczennikach współczesnych (w naszych siostrach i braciach zabitych, żywcem spalonych, zarżniętych czy ściętych barbarzyńskim mieczem i tchórzliwym milczeniem), w uchodźcach (w obliczach dzieci, kobiet i osób wyczerpanych i załęknionych, które uciekają przed wojną i przemocą) czy cierpiących (w ludziach starszych opuszczonych przez swoich krewnych, w niepełnosprawnych i w niedożywionych dzieciach, odepchniętych przez nasze egoistyczne i zakłamate społeczeństwa), w błogosławionych i świętych... Krzyż Chrystusa łączy ludzi dotkniętych cierpieniem i zadających cierpienie.

Krzyż Chrystusa stoi więc nie tylko w Kościele, nie tylko stoi w środku ludzkiej społeczności, ale stoi również między człowiekiem a człowiekiem, gdyż jest dotknięciem odwieczną miłością najboleśniejszych ran ziemskiej egzystencji człowieka, ran cielesnych i duchowych. Chrystus dzieli się na krzyżu z każdym człowiekiem swoim życiem, miłością i świętością. Każdy człowiek, kontemplując krzyż, uczy się przebaczać albo prosić o przebaczenie, a także żyć w pokorze i komunii. Krzyż pozwala także każdemu człowiekowi doświadczyć Bożego pokoju. Św. Augustyn stawia takie pytanie człowiekowi kontemplującemu krzyż Chrystusa: „Czy duch twój chce być zdolny do przewyciężenia twych poządlności? Niech się podda temu, który go przewyższa, a zwycięży to, co jest poniżej niego. Wtedy nastąpi w tobie pokój: prawdziwy, niezawodny i pełen łaski. Jaki jest porządek tego pokoju? Bóg włada duchem, a duch ciałem – trudno o lepszy porządek” (św. Augustyn, *Sermones post Maurinos reperti*, Roma 1930, s. 633, *Miscellanea Augustiana*). Taki porządek w świecie ustanowił Chrystus na krzyżu, dlatego nie można żadnemu człowiekowi odmówić obecności przy krzyżu Chrystusa. Jest to również prawo każdego pacjenta, bez względu na jego historię życia, aby na jego drodze szpitalnej był krzyż. On nie zniewala, ale jest propozycją nawiązania dialogu z Jezusem.

W krzyżu Chrystusa znajduje się również odbicie rzeczywistości ziemskich i duchowych. To trzecia prawda, którą pokazuje w swoim „manifeście” Franciszek. Jan Paweł II wskazał na człowieka, który jest pierwszą i podstawową drogą Kościoła. Dlatego usprawiedliwiona jest troska Kościoła o to, aby życie chrześcijan stawało się coraz bardziej ludzkie, aby wszystko, co na to życie się składa, odpowiadało prawdziwej godności człowieka. Sytuacja w świecie współczesnym daleka jest jednak od wymagań porządku moralnego, sprawiedliwości i miłości społecznej – człowiek coraz bardziej żyje w lęku (Jan Paweł II, Encyklika *Redemptor hominis*, n. 15).

Franciszek pokazuje wybrane, choć bardzo wymowne przyczyny tego lęku człowieka współczesnego: nienawiść, która panoszy się i oślepia serca i umysły; egoizm rujnujący przyszłość następnych pokoleń; korupcja, laicyzacja, przemoc, znieczulica, próżne ambicje. Te różne przejawy zła oświecła krzyż Chrystusa, który jest symbolem Bożej miłości i jednocześnie ludzkiej niesprawiedliwości, ikoną największej ofiary z powodu miłości i skrajnego egoizmu wynikającego z głupoty, narzędziem śmierci i drogą zmartwychwstania, znakiem posłuszeństwa i znamieniem zdrady, miejscem kaźni przesładowań i sztandarem zwycięstwa. Krzyż bowiem „stanowi najgłębsze pochylenie się Bóstwa nad człowiekiem [...]. Krzyż stanowi jakby dotknięcie odwieczną miłością najboleśniejzych ran ziemskiej egzystencji człowieka” (Jan Paweł II, Encyklika *Dives in misericordia*, n. 8).

I wreszcie krzyż Chrystusa jest przedmiotem szczególnej czci Jego wyznawców. Przedmiotem najwyższego kultu powinny być wizerunki drogocennego i ożywiającego Krzyża. „Kult bowiem obrazu skierowany jest do wzoru” (św. Bazyli). Kto zatem oddaje hołd obrazowi, ten go składa Istocie, którą obraz przedstawia. Papież Franciszek wzywa współczesnych chrześcijan, aby ożywili nabożeństwo krzyża. Krzyż jest najdroższą relikwią naszego Odkupiciela. W każdym chrześcijańskim domu jest ta relikwia, ale wymaga czci i uwielbienia. Każdorazowe oddanie czci krzyżowi Chrystusa jest przejściem w nowy wymiar życia. Znak krzyża rozpoczyna każdą modlitwę, bo to jest najkrótsza forma wyznania wiary. Jeśli zatem krzyż znajduje się w szpitalnych salach to dlatego, że ludzie

wierzący modlą się już, gdy patrzą na niego i otwierają serce dla miłości i nadziei z niego płynącej.

Czym innym jednak jest błogosławieństwo znakiem krzyża. Jest to nie tylko wyznanie wiary, ale przede wszystkim klucz otwierający źródło łask. Od niego bowiem rozpoczął się nowy czas w dziejach człowieka. Jest to czas łaski, czas zbawienia. Poprzez Krzyż każdy człowiek, a pacjent w szpitalu przede wszystkim, może zobaczyć na nowo perspektywę swojego życia na ziemi; zobaczyć, jak bardzo go umiłował Bóg; zobaczyć, jak wielka jest jego własna wartość. Dla ludzi cierpiących krzyż staje się miarą godności człowieka. Cierpienie z Jezusem otwiera każdemu człowiekowi perspektywę szczęśliwej wieczności według Jego obietnicy: „tak Bóg umiłował świat, że Syna swojego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne” (por. J 3, 16).

TAJEMNICA PRAWDY WIDZIANA PRZEZ PRYZMAT CIERPIENIA

Ludzie chorzy przebywający w szpitalach mają dużo czasu na przemyślenia. Jednym z problemów, który nie daje spać, nawet po przyjęciu dużej dawki leków nasennych i przeciwbólowych, jest prawda. Większość pacjentów chciałaby znać prawdę o swoim stanie zdrowia, o swojej chorobie, o szansach na wyleczenie. Oczekują od lekarzy również całej prawdy o zagrożeniach życia z powodu choroby. Jednak taka prawda jest raczej zwyczajną wiedzą medyczną, lub też mniej lub bardziej specjalistycznie ujętą diagnozą i rokowaniem zdrowienia lub pogorszenia stanu zdrowia. Istota prawdy jest natomiast zupełnie inna. Należy zatem chwilę się zatrzymać, podjąć refleksję i poznać wartość prawdy. Od razu dodam, że poznanie prawdy nie jest wcale takie proste, ale chrześcijanie, kierując się nauczaniem Ewangelii, mają łatwiejszą, niż inni ludzie, drogę do jej poznania. Dlaczego tak jest, wyjaśnię w dalszej części tej refleksji.

Przede wszystkim należy uporządkować terminologię. W doktrynie wiary istnieje bardzo ostry podział na to, co jest prawdą a co kłamstwem. Bóg jest źródłem Prawdy, a diabeł jest ojcem kłamstwa. „Od początku

był on zabójcą i w prawdzie nie wytrwał, bo prawdy w nim nie ma. Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa. A ponieważ Ja mówię prawdę, dlatego Mi nie wierzycie. Kto z was udowodni Mi grzech? Jeżeli prawdę mówię, dlaczego Mi nie wierzycie? Kto jest z Boga, słów Bożych słucha. Wy dlatego nie słuchacie, że z Boga nie jesteście” (J 8, 44–47).

W wymiarze moralnym granice między prawdą i kłamstwem wyznacza sumienie każdego człowieka, który dokonuje świadomych i wolnych wyborów i podejmuje świadome i wolne decyzje. Ludzkie doświadczanie jest jednak w każdym wymiarze wielorako uwarunkowane wewnętrznie i zewnętrznie. Myśl ludzka, uczucia i emocje, słowo wypowiedane i działania zależą od wrażliwości sumienia ludzkiego na Prawdę, Dobro i Piękno (transcendentalia).

W codzienności nawet chrześcijanie nie korzystają jednak z precyzyjnego języka filozoficzno-teologicznego, którym np. posługuje się św. Tomasz z Akwinu. Dla niego prawda ma najpierw wymiar metafizyczny (istnienie, byt): prawdziwe jest to, co istnieje; prawda jest zamienna z bytem; każda rzecz, o ile istnieje, jest prawdziwa. Wyróżnia on również teoriopoznawczy wymiar prawdy (poznanie, wiedza): prawda polega na tym, że to co jest w naszym intelekcie, jest zgodne z rzeczywistością. I trzecim wymiarem prawdy jest logika (rozsądek, mądrość): wszystko, co wskazuje na prawdę, przedstawia ją, prowadzi do niej.

Ludzie na co dzień nie kategoryzują w ten sposób prawdy, a raczej rozumieją prawdę jako przeciwieństwo kłamstwa. Większość ludzi posługuje się też na co dzień drobnymi kłamstwami, które nie przeciwstawiają się prawdzie w znaczeniu moralnym. I tak np. kiedy mąż mówi rano „rozczochranej” żonie, że wygląda pięknie, a żona się odwzajemnia mężowi, że z jednodniowym zarostem wygląda bardzo męsko, należy uznać, że są to raczej komplementy a nie kłamstwa. Może to być również przytakiwanie szefowi, z którym się nie zgadzamy, aby uniknąć niepotrzebnego spięcia. Takie małe kłamstwa, często niedopowiedzenia, upiększenia, wyolbrzymienia nazywane są „białymi kłamstwami”. Ludzie często posługują się nimi, aby uniknąć konfrontacji i niepotrzebnych nieprzyjemności. Czy jest to zgodne z zasadami chrześcijańskiej moralności?

Zanim odpowiem na to pytanie, przytoczę wyniki badań naukowców nad wpływem kłamstw na relacje międzyludzkie i jakość życia społecznego. Otóż naukowcy wprowadzili do już istniejącego modelu społeczeństwa nową zmienną: kłamstwa – od poważnych do nieszkodliwych. Okazało się, że kłamstwa poważne, nazwane „czarnymi” doprowadzały do rozłamów społeczeństw. Natomiast kłamstwa „białe”, mimo że występowały z większą częstotliwością, poprawiały kontakt między małymi, zamkniętymi grupami. Model matematyczny dynamiki grup pokazuje zatem, że nie należy z jednakową surowością traktować kłamstw „białych” i „czarnych”. Nie jest to jednak wystarczający argument za uznaniem białych kłamstw jako moralnie dopuszczalnych.

Przeciętny człowiek kłamie od dwóch do dwustu razy dziennie – tak twierdzą badacze tego zjawiska. Kto kłamie? Najpierw nałogowcy, którzy posługują się kolejnymi kłamstwami, aby maskować swój nałóg kłamania. Kłamią również „ofiary” różnych dysfunkcji społecznych (np. dzieci z dysfunkcyjnych rodzin z lęku przed odrzuceniem). Dalej kłamią również ludzie bez asertywności (nie umieją odmawiać, więc obiecują coś, co nie są w stanie zrobić, a potem wymyślają tłumaczenia). Kłamią także ci, którzy chcą się widzieć lepszymi i chcą, aby inni widzieli ich lepszymi niż są (narcyzm). Kłamią również egoiści, bo muszą zaspokoić swoje potrzeby bezwzględnie i natychmiast. Od kłamstw nie są wolni politycy, chcąc zdobyć a potem utrzymać władzę. Kłamstwami posługują się pracodawcy, więcej obiecując niż mogą później dać. Ale kłamią też pracownicy, bo chcą otrzymać lepszą pracę i większe wynagrodzenie, a także awansować. Zdarza się, że kłamią rodzice, bo chcą przed dziećmi zachowywać się jak „bogowie”, ale kłamią również dzieci, bo chcą coś od rodziców uzyskać, albo uniknąć kary. Wreszcie kłamią nauczyciele i uczniowie, lekarze i pacjenci, urzędnicy i petenci. I tak dalej, i tak dalej.

Ludzie często się usprawiedliwiają, że kłamią tylko w drobnych sprawach, z grzeczności lub w dobrej wierze. Gdy wprowadzamy kogoś w błąd w przekonaniu, że mu nie wyrządzimy krzywdy, to uznaje się to za kłamstwo nieszkodliwe, z którego ludzie się łatwo rozgrzeszają. Jeśli jednak np. komuś, kto jest śmiertelnie chory, powiemy: „wyjdziesz z tego”, to uznaje się, że jest to już czarne kłamstwo.

Jarosław Świątek (psycholog społeczny), autor książki *Wszyscy kłamią – Nie daj się oszukać*, uważa, że Polacy kłamią częściej niż ludzie z Europy Zachodniej czy z USA. Ludzie Zachodu są asertywni i mówią wprost, co myślą i czują. Natomiast normy kulturowe w Polsce nie pozwalają na mówienie wprost. Nieszczerość w drobnych sprawach może być jednak treningiem i niestety może ułatwiać kłamstwa w poważniejszych kwestiach. I to jest niebezpieczne, dlatego nawet małe kłamstwa, „białe” kłamstwa należy traktować jako stan nienormalny i przejściowy, ale nie można go moralnie piętnować jak kłamstwa poważne, „czarne”. Prawdziwe życie w prawdzie, według Jezusa, daje człowiekowi wolność: „Jeżeli będziecie trwać w nauce mojej, będziecie prawdziwie moimi uczniami i poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8, 31–32).

W każdym przypadku „kłamstwo jest chyba bardziej nagie niż prawda, albowiem stale od niej szat pożyczca” (H. Sienkiewicz, *Dziela*, t. 39, Warszawa 1951, s. 66). Dlatego nawet przez drobne kłamstwa tworzy się błędne koło nieufności. Chrześcijanie, przyjmując nauczanie Jezusa z Ewangelii, żyją w prawdzie, ale też powinni nieustannie poszukiwać prawdy, mówić prawdę, dokonywać wyborów i podejmować decyzje w oparciu o prawdę, działać zgodnie z prawdą.

W dalszej części tej refleksji będziemy poszukiwać znaczenia prawdy, w którą wierzą chrześcijanie z perspektywy cierpienia. Ludzie chorzy potrzebują prawdy tak, jak powietrza do życia, pokarmu dla ciała, wody gaszącej piekące pragnienie. Prawda jest potrzebna dla umysłu i serca jak skuteczne lekarstwo dla chorego ciała.

Co to jest prawda? To pytanie Piłata skierowane do ubiczowanego Jezusa rozbrzmiewa w szpitalnych salach. Nie można jednak go usłyszeć zmysłowo, gdyż rozlega się ono w sercach pacjentów. To pytanie budzi niepokój. Jeśli bowiem uzna się, że nie można poznać źródła Prawdy, która płynie od Boga, to wtedy każdy człowiek może mieć swoją prawdę. Jeśli natomiast prawda jest zmienna i każdy człowiek ma swoją prawdę, to jaki sens ma życie człowieka, jaki sens ma cierpienie i śmierć? Zmienność prawdy pozbawia więc człowieka chorego nadziei na szczęśliwe życie wieczne, gdzie już nie będzie cierpienia, ni bólu, ni łez: „Bóg otrze z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie.

Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu już odtąd nie będzie, bo pierwsze rzeczy przeminęły” (Ap 21, 4).

Warto więc poświęcić trochę czasu, aby zastanowić się nad prawdą jako wartością absolutną i nieprzemijającą. Spróbujmy najpierw cofnąć się we wspomnieniach do lat młodzieńczych. Młodzież zawsze zadawała trudne pytania, a czasem wprawiała w zdumienie wychowawców i nauczycieli: po co mamy się tego wszystkiego uczyć? Trudno jest odpowiedzieć na to pytanie, gdyż nauczyciel nie może uzasadnić użyteczności przekazywanej nauki, której wartość ujawnia się w nieprzewidywalnym czasie i okolicznościach niemożliwych do określenia z perspektywy teraźniejszości.

Ilustruje tę prawdę historia nauczycielki, Mirosławy, która wymagała od swoich uczniów uczenia się na pamięć cytatów wielkich myślicieli. Miała również swoją metodę uczenia tych mądrości. Za każdym razem, kiedy sprawdzała obecność, wycytując nazwisko, mówiła początek cytatu. Zgłaszając swoją obecność, uczeń musiał dokończyć rozpoczętą myśl. Na przykład: Adamczyk Paweł – „porażka nie istnieje, chyba że...” – „przestaje się próbować” – obecny. Przed końcem roku szkolnego jego uczniowie znali na pamięć ponad pięćdziesiąt mądrych cytatów. „Pomyśl, że potrafisz, pomyśl, że nie potrafisz. W każdym wypadku masz rację!”; „Jeśli widzisz przeszkody, to znaczy, że stracisz z oczu swój cel”; „Cynik to ktoś, kto zna cenę wszystkiego, ale nie zna wartości”; „Jeśli możesz wpaść na jakiś pomysł i uwierzyć w niego, to znaczy, że możesz go zrealizować” (Napoleon Hill).

Wśród jej uczniów był również taki, który najczęściej narzekał na pamięciowe przyswajanie sobie mądrości innych ludzi, nawet jeśli są wielcy. Skończył naukę w szkole, ale później wpadł w bardzo złe towarzystwo. Kolejne przygody życiowe zaprowadziły go do domu poprawczego. Załamany psychicznie i pozbawiony nadziei na poprawę, podjął próbę samobójczą i podciął sobie żyły. Kiedy dokonał tego, przyszedł mu na myśl jeden z tych cytatów, których uczył się w szkole: „Porażka nie istnieje, chyba że przestaje się próbować”. I nagle dotarł do niego sens tych słów: – „Dopóki żyję, nie jestem przegrany. Jeśli teraz umrę, na pewno umrę przegrany”. Zebrał więc wszystkie siły, jakie mu pozostały, wezwał pomoc i uratował swoje życie. A potem zaczął nowe życie.

Historia ta jest prawdziwa, choć opowiadana wielokroć, staje się przypowieścią; taką przypowieścią, jakie wykorzystywał Jezus w swojej Ewangelii. Każda opowiedziana przez Niego „historia” ukazuje prawdę nie tylko dlatego, że jest prawdziwa, ale dlatego że Jezus w przypowieściach umieścił Prawdę i mądrość.

Czym jest Prawda? Nie siląc się na filozoficzne, czy teologiczne rozważania, można uznać, że Prawdą jest to, co jest objawione przez Boga. Bez względu na to, czy jest ona miła czy przykra, zrozumiała czy zawiła, przydatna lub nieprzydatna, jest Prawdą. A kiedy Prawda staje się mądrością dla człowieka? Kiedy człowiek uzupełni swoje doświadczenie zmysłowe wiarą w Prawdę. Bo prawdziwa mądrość to owoc wiary w Prawdę.

Św. Paweł głosił, że „wiara rodzi się ze słuchania, a tym co się słucha jest słowo Chrystusa” (Rz 10, 17). Głoszenie Ewangelii nie wymaga więc spełnienia warunków wstępnych, tak zresztą jak i słuchanie. Ewangelia jest bowiem Prawdą Bożą, a dla człowieka stanie się mądrością, kiedy umocni się jego wiara. Można jednak zapytać: jakie są oznaki mocnej wiary? Odpowiedź nasuwa się sama po usłyszeniu opowiedzianej powyżej historii. Człowiek jest mocny wiarą, kiedy sam jest słaby, po ludzku słaby. Do wiary mocnej człowiek dochodzi więc nie z własnej woli, ale poprzez spełnianie się woli Bożej w jego życiu. To jest też klucz do głoszenia, słuchania i rozumienia Ewangelii.

Jezus, Nauczyciel, głosi swoją Ewangelię w Kościele. Każdy, kto jest w Jego „szkole”, chcąc nie chcąc, uczy się Prawdy Ewangelii. Uczenie się Ewangelii nie daje jednak prawa nazywania siebie uczniem Chrystusa – jest się dopiero uczniem Jego Ewangelii. Natomiast uczniem Chrystusa staje się ten, kto uczyni Jego słowa swoimi i będzie je spełniał w swoim codziennym życiu. Uczniem Jezusa może bowiem być ten człowiek, który uwierzy Jezusowi i przyjmie Jego nauczanie wiarą a nie rozumem. Ta myśl pojawiła się już w encyklice Benedykta XVI *Deus caritas est*: „U początku bycia chrześcijaninem nie ma decyzji etycznej czy jakiejś wielkiej idei, jest natomiast spotkanie z wydarzeniem, z Osobą, która nadaje życiu nową perspektywę, a tym samym decydujące ukierunkowanie” (Benedykt XVI, Encyklika *Deus caritas est*, n. 1).

Opowiedziana historia o nauczycielce ma jeszcze jeden aspekt. Jest praktyczna. Słuchając tej historii człowiek ma nieodparte wrażenie, że to może być jego historia. Nie musi więc wysilać swojego intelektu, nie angażuje się emocjonalnie. Ta historia jest jego historią poprzez Prawdę, którą objawia. Człowiek potrzebuje Prawdy, aby mógł podążać za Chrystusem. W każdym człowieku jest bowiem „puste miejsce”, które może wypełnić tylko Prawda.

Ewangelia Jezusa jest najprostszą drogą do Prawdy, ale nie jedyną. Każdy człowiek ma możliwość odkrywania Prawdy poprzez drugiego człowieka. Dlatego zawsze trzeba traktować drugiego człowieka jak ucznia, który oczekuje pomocy zwyczajnej i prostego przekazu Prawdy. Nie oznacza to jednak, że ucząc drugiego człowieka Prawdy sam staję się nauczycielem. Nauczycielem Prawdy nikt bowiem nie może się stać z własnej woli, ale jest się nim z woli Bożej. Bóg sam sobie wybiera nauczycieli Prawdy i On sam decyduje o jej objawieniu. Może posłużyć się każdym człowiekiem i wykorzystać każdą sytuację i okoliczność do objawienia Prawdy. Przekaz Prawdy dokonuje się jednak niezależnie od intencji i działania człowieka, który naucza. Prawda objawia się bowiem nie za sprawą działania ludzkiego, ale Bożej interwencji. Przekazane drugiemu człowiekowi prawdy dopiero w przewidzianych w planach Bożej Opatrzności okolicznościach stają się Prawdą. Oznacza to, że głoszenie Ewangelii jest najpierw przekazywaniem prawd, które wymagają intelektualnego i uczuciowego zaangażowania człowieka. Jest to przekazywanie i słuchanie Ewangelii po ludzku.

Może jednak tutaj pojawić się uzasadniona wątpliwość tak, jak u tych uczniów, o których była mowa w opowiadaniu z początku tej refleksji. Jaki sens ma głoszenie i słuchanie Ewangelii, skoro jest to nieefektywne i bezowocne w możliwym do określenia przedziale czasowym? Czy warto tracić czas na głoszenie i słuchanie Ewangelii, skoro nie jest mi to potrzebne do życia w codzienności, a może nawet nigdy nie będzie mi potrzebne i użyteczne w moim życiu?

Potrzebna jest tu podwójna argumentacja, która pozwoli ujawnić i zrozumieć sens głoszenia i słuchania Ewangelii. Najpierw dotknąć należy ludzkiej natury człowieka. Człowiek nie ma potrzeby angażowania się

w nieuzasadnione egzystencjalnymi korzyściami działania, nawet mających swoje źródło w jego zmyśle religijnym. Innymi słowy: człowiek nie czuje potrzeby podejmowania jakiegokolwiek wysiłku, jeśli mu to nie przynosi określonych korzyści. Głoszenie i słuchanie Ewangelii jest także obciążone takim praktycznym podejściem człowieka. Można więc uznać, że kontakt z Prawdą Ewangelii pozostaje poza naturalnymi możliwościami percepcji ludzkiej. Prawda Ewangelii po prostu „spływa po człowieku”. To głoszenie i słuchanie Ewangelii nie jest jednak pozbawione znaczenia i wpływu na człowieka i jego życie. Przede wszystkim człowiek zanurza się w Prawdzie Ewangelii, a jednocześnie Prawda Ewangelii przenika człowieka. To byłoby jednak za mało. Człowiek ma też wpływ na Prawdę Ewangelii. W jaki sposób? Ta prawda jest przeznaczona dla niego, to on jest jej adresatem. Prawda Ewangelii nie jest bowiem teoretyczna, ulotna, bezosobowa. Prawda Ewangelii ma swoje imię, a jest to zawsze imię człowieka, do którego jest kierowana.

Dla usensowienia głoszenia i słuchania prawd Ewangelii potrzebna jest też argumentacja duchowa. Bóg może dotrzeć do człowieka w różny sposób. Jednak uprzywilejowane jest słowo, które Bóg kieruje do człowieka. W słowie Boga do człowieka kryje się przede wszystkim Jego miłość, która jest miłością bezwarunkową. Bóg kocha człowieka za nic, takim jakim on jest. Tej miłości nic nie może zmienić, bo jest to miłość Boga do człowieka. Człowiek powinien jednak odpowiedzieć na tę miłość. Miłość człowieka do Boga jest natomiast uwarunkowana jego ludzka naturą. Człowiek kocha Boga tak, jak siebie i jak drugiego człowieka. Człowiek nie może więc kochać Boga inną miłością niż miłością ludzką. Taka miłość jest natomiast niedoskonała, a nawet wielorako obciążona ludzkimi słabościami. Człowiek nie pozostaje jednak wobec Boga bezsilny. Miłość człowieka do Boga może bowiem zostać ubogacona tym, co człowiek otrzymuje od samego Boga. Jeśli człowiek z własnej woli mówi Bogu: Kocham Cię, jest to wyznanie miłości niedoskonałej. Jeśli jednak człowiek odpowiada na miłość Boga swoją miłością, ta miłość staje się miłością doskonałą, bo jest odpowiedzią na miłość Boga do człowieka.

I tu jest potrzebna Ewangelia, której człowiek słucha. Kiedy Ewangelia jest głoszona, a człowiek przyjmuje jej prawdy, to znaczy słucha samego

Boga, który w ten sposób kieruje do człowieka swoją miłością. Człowiek, słuchając Ewangelii, słucha Boga i może Mu odpowiedzieć swoją miłością. Taka odpowiedź człowieka na miłość Boga pozostaje miłością ludzką w swoim wyrazie i jest aktem wolnej i świadomej decyzji człowieka. Człowiek nie jest więc przymuszony do takiego działania i nie musi wyznawać miłości do Boga. On to czyni na sposób ludzki – wolny i świadomy.

Natomiast miłość, która jest odpowiedzią człowieka na miłość Boga, jest działaniem na wskroś duchowym. Człowiek w wyznaniu takiej miłości przekracza samego siebie, wycisza umysł, rezygnuje z wolności, jest całkowicie oddany Bogu. Między nim a Bogiem jest tylko miłość. Jest to doświadczenie, które należy do człowieka, ale nie zależy od niego. Człowiek jest więc zdany na słuchanie Ewangelii, w której Bóg głosi prawdy i kieruje do człowieka swoją miłością, a człowiek sam z siebie odpowiada na tę miłość, oddając się do całkowitej dyspozycji miłości Bożej. Prawdziwym owocem słuchania Ewangelii jest natomiast dopiero odpowiedź człowieka na miłość Boga, do której Bóg go uzdalnia ukierunkowaniem na Prawdę. Człowiek nie może zadowolić się prawdami, nawet jeśli ich źródłem jest Ewangelia. Serce człowieka może zaspokoić tylko Prawda, czyli sam Bóg i człowiek do tego dąży, choć sam nie jest w stanie określić, za czym tak naprawdę tęskni jego serce. Jeśli coś jest natomiast poza świadomością człowieka i nie angażuje jego wolnej woli, nie ogranicza jego wolności. I taka jest Prawda Boża. Ona nie angażuje jego rozumnej natury, nie uruchamia ludzkich uczuć. Prawda wyzwala w człowieku siłę kochania Boga. Czyli Prawda ostatecznie uzdalnia człowieka do kochania Boga taką miłością, która jest prawdziwą odpowiedzią na miłość Boga. Kto więc poddaje się Prawdzie, staje się partnerem Boga, wchodzi w najbliższą z Nim relację, której pełnię osiągnie w wieczności.

Słuchanie Ewangelii nie jest jedynym sposobem słuchania Boga, który objawia Prawdę. Człowiek może też być nauczycielem Prawdy sam dla siebie. Dzieje się tak, gdy samotność i bezradność człowieka nie jest tylko chwilowym doświadczeniem, ale staje się istotą jego egzystencji. Kiedy człowiek pozostaje tylko sam, Bóg posyła do niego jego własną osobę. Człowiek jest wtedy posłańcem Prawdy sam dla siebie. W takiej sytuacji Bóg niejako oddaje człowiekowi jego człowieczeństwo. Stając

się człowiekiem sam dla siebie, może być także człowiekiem dla Boga. Prawda czyni więc człowieka nowym człowiekiem po to, aby mógł żyć nowym życiem w Prawdzie.

Prawda jest więc niezmienną zasadą bycia człowiekiem i jednocześnie łączy wszystkich ludzi. Prawda, która czyni człowieka człowiekiem, uzdalnia go do otwarcia na innych i pozwala tworzyć wspólnotę. Prawda bowiem łączy ludzi, czyniąc z nich wspólnotę. Tutaj też wyraźnie widać rolę Kościoła w głoszeniu Ewangelii. Ewangelia powinna być głoszona człowiekowi, ale Kościół, który ją głosi, czyni to jako wspólnota. Każdy głosiciel Ewangelii w Kościele jest więc zależny od wspólnoty, gdyż Prawda którą głosi, ma sens i znaczenie, jeżeli buduje wspólnotę Kościoła. Natomiast bogactwo Prawdy ukazuje się w pełni dopiero wtedy, gdy słuchający Ewangelii odkryje, że indywidualne przyjęcie Prawdy pozwala odkryć własne człowieczeństwo. Natomiast prawdziwym znakiem przyjęcia Prawdy jest dopiero otwarcie na wspólnotą taką, jaka ona jest, czyli otwarcie się na wszystkich ludzi, bez względu na to, jak są postrzegani w wymiarze ludzkim. Prawda pozwala bowiem kochać wszystkich ludzi bez wyjątku, nawet nieprzyjaciół.

Człowiek chory, pacjent w szpitalu jest osobą uprzywilejowaną w doświadczeniu prawdy. Doświadczenie prawdy jest bowiem zawsze bardzo bolesne, bo jest ono udziałem człowieka wtedy, kiedy czuje się słabym człowiekiem. Cierpienie z tym związane jest jednak darem dla człowieka poszukującego Prawdy. Cóż to jest prawda? – pyta Piłat umęczonego, samotnego, cierpiącego Jezusa (J 18, 38). Nie ma na to pytanie odpowiedzi, bo to Jezus jest Prawdą, a każde wypowiedziane słowo w takim momencie byłoby kłamstwem. „Ja jestem Drogą, Prawdą i Życiem” – uczy Jezus (J 14, 6). Nie w triumfie życia i radości, ale w bólu i samotności męki.

Niełatwo jest człowiekowi poszukiwać Prawdy, bo przeczuwa intuicyjnie doświadczenie cierpienia, bezradności i samotności. Prawda jednak sama znajduje człowieka; dociera do niego w momencie, kiedy jego cierpienie już nie będzie większe, a człowiek przekonuje się, że to, czego tak bardzo się bał, jest jego wyzwoleniem i wybawieniem, bo objawia mu Prawdę.

Każde ludzkie doświadczenie, każda chwila życia człowieka są naznaczone Prawdą. Jej odkrycie nie wymaga wysiłku intelektualnego, wiedzy, a nawet niepotrzebne jest doświadczenie. Prawda nie żyje bowiem życiem człowieka, ale ma własne źródło istnienia w Bogu. Prawdy nie można więc zabić, zniszczyć, bo Bóg jest wieczny. Można ją sponiewierać, zohydzić albo nawet znienawidzić ją, ale ona zawsze pozostanie Prawdą. I to jest istota kerygmatu ewangelicznego. Ewangelia zawiera Prawdę, ale ta Prawda zaczyna żyć w człowieku dopiero w takiej chwili, o której nie decyduje człowiek, ale Bóg. I to jest piękno Prawdy – jest samą Prawdą, jest bezcenna, jest żywa. Człowiek nie musi na nią zasługiwać, nie jest beneficjentem Prawdy, ale jednocześnie tylko człowiek został przez Boga wybrany, aby stać się godnym przyjęcia Prawdy. Prawda wyzwala, przemienia, ożywia. Prawda jest wieczna.

Kto może słuchać Prawdy? Odpowiedź jest prosta. Każdy człowiek. I słucha, choć nie zdaje sobie sprawy z jej posiadania. Ma skarb Prawdy, ale objawi mu się ona wtedy, kiedy będzie jej potrzebował. Niejeden więc słuchający Ewangelii powie sobie w duchu: po co mi ta Ewangelia? I w tym momencie nie znajdzie się tak mądry nauczyciel, aby wyjaśnił jej sens. Może to uczynić sam Jezus, ale to przecież On sam głosi Ewangelię, której słuchamy. Jezus nie może wyjaśniać nam Ewangelii, jak swoim uczniom, kiedy żył na ziemi. Objawienie Ewangelii zakończyło się bowiem śmiercią Jezusa. Jezus zmartwychwstały już nie wyjaśnia, nie tłumaczy Ewangelii. On ją tylko głosi w swoim Kościele. Objawienie Prawdy Ewangelii dokonuje się natomiast w życiu każdego z Jego uczniów.

Prawda żyje, wydaje owoce zbawienia, a każdy uczeń Chrystusa otrzymuje przywilej bycia nauczycielem Prawdy, jeśli naucza jej pod natchnieniem Ducha i zgodnie z duchem nauki Kościoła. Nauczanie Prawdy Ewangelii jest proste i zwyczajne. Ewangelia jest bowiem Prawdą i dla życia wiecznego, i dla życia doczesnego. O ile Prawda wieczna jest okryta tajemnicą, o tyle Prawda życiowa jest związana z codziennością i łatwo dostępna. Każde przeżycie ludzkie może objawić Prawdę, każda historia człowieka niesie ze sobą Prawdę. Jeśli tak jest, to warto uczyć się w szkole Ewangelii, słuchając jej w Kościele, czytając i modląc się słowami Ewangelii w domu. Najważniejsze jest jednak to, że Prawda kocha

człowieka i nikogo nie pozostawi i nie opuści w chwilach największych życiowych prób. Prawda jest też cierpliwa w uczeniu człowieka mądrości, bo Prawda zna człowieka i Prawda wie, że człowiek może uwierzyć w Prawdę wtedy, kiedy ją pokocha.

Ewangelia jest uniwersalnym objawieniem Prawdy. Może być uznana i przyjęta przez każdego człowieka. Uniwersalizm Prawdy Ewangelii ma jednak ścisły związek z jej głosicielami. Prawda Ewangelii nie może być własnością żadnego człowieka. Głosiciel Ewangelii jest najpierw jej przekazicielem w słowie. Nie powinno się natomiast zawężać Prawdy Ewangelii do własnego doświadczenia. Uniwersalizm Ewangelii wymaga więc świadectwa słowa Prawdy, natomiast świadectwo życia powinno być objawieniem indywidualnej relacji głosiciela z Chrystusem.

Ewangelia zawiera Prawdę, natomiast pomocą w jej zrozumieniu nie powinno być świadectwo życia, ale mądrość płynąca z wiary w Prawdę, którą jest Jezus. Trudno jest głosicielowi uznać, że w głoszeniu Ewangelii można być tylko nauczycielem, a nie świadkiem. Głoszenie Ewangelii jest bowiem nauczaniem, natomiast to Jezus daje świadectwo Prawdzie.

Czy zatem żaden człowiek nie może być świadkiem Prawdy Ewangelii? Może być świadkiem Ewangelii ten człowiek, którego powołuje sam Chrystus. Takim świadkiem staje się każdy kapłan powołany do służby Chrystusowi i Kościołowi. Św. Augustyn, w kazaniu o pasterzach, nauczał: „Kimże jest ten, kto wam przewodzi, jeśli nie takim samym jak i wy? Ma ciało, jest śmiertelny, posila się, kładzie się do snu i powstaje; urodził się i umrze na pewno. Kiedy więc zastanowisz się, kim jest sam w sobie, odpowiesz: jest człowiekiem. Skoro zatem okazujesz mu szczególniejszy szacunek, wówczas jakby zakrywasz, co słabe. Popatrzcie, iż tego rodzaju odzienie otrzymywał od świętego ludu Bożego tenże sam Paweł, kiedy powiedział: «Przyjęliście mnie jak anioła Bożego. Mogę wam wydać świadectwo: gdyby to było możliwe, bylibyście sobie oczy wydarli i dali je mnie». Doznawszy jednak tak wielkiego uszanowania, czy oszczędzi błędzących w obawie, by mu nie odmówiono szacunku albo nie chwalono w mniejszym stopniu, jeśli zgani? Otóż gdyby tak postąpił, byłby w liczbie tych, którzy samych siebie pasą, nie owce. Powiedziałby wtedy do siebie: Co mnie to obchodzi? Niech każdy czyni, co chce: mam utrzymanie,

mam szacunek; mleka i wełny mi wystarczy; niech każdy idzie, dokąd może. Sądzisz, iż sam jesteś bezpieczny, gdy każdy idzie, dokąd może? Nie trzeba, byś był pasterzem, wystarczy, jeśli należysz do trzody: «Jeśli jeden członek cierpi, współcierpią wszystkie członki» (św. Augustyn, *Kazanie* 46, 6–7). Każdy kapłan jest więc świadkiem Prawdy.

Czy bez udziału w kapłaństwie Chrystusa można stać się świadkiem Prawdy Ewangelii? Jest to możliwe i pierwszymi powołanymi do jej głoszenia są ludzie chorzy, słabi, cierpiący, potrzebujący pomocy i wsparcia. Jedynym warunkiem niezbędnym jest wyzbycie się własnej woli i poddanie się całkowicie woli Bożej. Głosiciel Ewangelii jest wtedy posłańcem Boga, który głosi prawdy życiowe, a Bóg sprawia, że stają się one świadectwem Prawdy Ewangelii. Taka refleksja nad życiem, która staje się przypowieścią, zawiera mądrość. Każda taka przypowieść jest najpierw przeżywana w zwyczajnym, codziennym życiu, a dopiero później, przy sprzyjających okolicznościach, jest opowiadana. Można zatem powiedzieć, że poprzez opowiadanie mamy szansę uchwycić zarówno przemijający czas, jak również doświadczyć jedności i całości naszego życia.

Każdy człowiek jest powołany do głoszenia Prawdy. Czyni to zgodnie z wolą Bożą. Żadnego człowieka nie może też zastąpić w jego głoszeniu Prawdy inny człowiek. Można zatem przyjąć, że Prawda jednoczy ludzi, zbliża ich do siebie, otwiera na innych. Głosiciel Prawdy nie musi więc nauczać innych. Bóg bowiem tak kieruje każdym człowiekiem, aby nie naruszyć jego wolności myślenia, chcenia i działania. Prawda, którą człowiek głosi, jest bowiem poza ludzką władzą. Jeśli więc Bóg kieruje głoszeniem prawdy nie narusza w człowieku tego, co ludzkie. Natomiast Prawda, która przenika człowieka, ubogaca go i uzdalnia do wchodzenia w bliskie relacje z Bogiem, który jest źródłem Prawdy.

Na koniec tej refleksji o prawdzie widzianej w perspektywie cierpienia warto wsłuchać się w nauczanie św. Kolumbana: siostry i „bracia, słuchajmy wezwania, którym Życie zaprasza nas do źródła życia. Jest ono nie tylko źródłem wody żywej, ale także źródłem życia wiecznego, źródłem światła i blasku. Z niego wywodzi się wszystko: mądrość, życie i światło wiekuiste. Dawca życia jest źródłem życia, Stwórca światła jest źródłem światłości. Dlatego nie zważając na rzeczy doczesne [...], szukajmy poza

światem widzialnym źródła światła, źródła życia, źródła wody żywej, abyśmy mogli czerpać «wodę żywą, tryskającą ku życiu wiecznemu» (św. Kolumban, Konferencja. Nauka 13: *O Chrystusie, źródle życia*, 2–3).

Do czego potrzebna jest prawda człowiekowi? Odpowiedzi na to końcowe pytanie oczekują ludzie chorzy, pacjenci przebywający w szpitalu. Do odpowiedzi wykorzystam historię o Thomasie Edisonie (1847–1931), wielkim wynalazcy, którą kiedyś usłyszałem. Był nie tylko genialnym odkrywcą, ale potrafił też znajdować praktyczne zastosowania dla swoich wynalazków. Wchodząc do jego posiadłości trzeba było otworzyć furtkę. Niestety, wielu z trudnością mogło sobie z nią poradzić, bo ciężko się otwierała. Kiedyś jeden z gości powiedział do Thomasa Edisona z wyrzutem: – Jesteś takim genialnym wynalazcą, a nie umiesz sobie poradzić nawet ze swoją furtką, która tak trudno się otwiera i trzeba dużego wysiłku, aby ją uruchomić. Wtedy Edison mu odpowiedział: – Za każdym razem, kiedy ktoś otwiera moją furtkę pompuje ze studni do mojego zbiornika 50 litrów wody.

To pouczająca historia. Po co człowiekowi potrzebna jest prawda? Tylko Bóg wie, czym jest prawda i jaką rolę spełnia ona w życiu każdego z nas. Niekiedy Bóg odkrywa tajemnicę prawdy przed człowiekiem. Zwłaszcza ludzie chorzy, pacjenci w szpitalach są takimi uprzywilejowanymi osobami. Bóg do każdego chorego mówi: – Jest ci ciężko, masz pretensje do całego świata, że spotyka cię takie doświadczenie, że cierpisz, że odczuwasz ból, że grozi ci śmierć, ale zobacz, jaki owoc przynosi twoje cierpienie. Spróbuj zobaczyć, w świetle Bożej prawdy, jaką wartość ma twoje życie ozdobione chorobą, cierpieniem. Twoje cierpienie może cię uszlachetnić, ale jeszcze ważniejsze jest to, co cierpienie znaczy w świetle Prawdy. Jest ono jak ciężko otwierająca się furtka, która potrzebna jest, aby wybrani przez Boga, dlaczego? tego nikt nie wie, zostali ozdobieni przywilejem otwierania furtki, która symbolicznie oznacza bramę do wiecznej szczęśliwości. Jedno wydaje się pewne. Niektórzy ludzie, wybrani przez Boga, mogą osiągnąć szczęśliwość wieczność tylko z cierpieniem. Dlaczego tak jest. Bóg zna odpowiedź i udzieli jej, gdy spotkamy się z Nim w wieczności. Kto wie natomiast, ile „wody” oczyszczającej, ożywiającej udało się zaczerpnąć przez cierpienie? To też zna tylko Bóg, ale też tylko On może wynagrodzić za każde cierpienie, które znosi się dla wierność Prawdzie, której On jest prawdziwym źródłem.

JUŻ BLISKO KOŃCA: NAWRACAJCIE SIĘ I WIERZCIE W EWANGELIĘ (por. Mk 1, 12–15)

Chrześcijanie, a katolicy zwłaszcza, mogą odnieść wrażenie, że w Kościele, kiedy mowa jest o nawróceniu, to dotyczy przede wszystkim wiernych świeckich, a mniej kapłanów. Nic bardziej mylnego. Nawrócenia potrzebują wszyscy członkowie wspólnoty Chrystusowej. Nowe znaczenie nawrócenia pojawia się w kontekście choroby i cierpienia. Człowiek chory jest uprzywilejowany we wspólnocie Kościoła, tak jak kapłani. Jego cierpienie nie stygmatyzuje a uszlachetnia, czyni go nowym człowiekiem. Chodzi tu o każde cierpienie, nie tylko to długotrwałe, przez całe życie i uciążliwe, gdyż nawet krótki pobyt w szpitalu czyni człowieka uczestnikiem tajemnicy cierpienia i stawia go wśród charyzmatycznych sług Chrystusa i Jego Kościoła.

Refleksja o nawróceniu jest więc skierowana do ludzi chorych i cierpiących, ale odczytanie jej sensu wymaga wejścia w stan powołania, które łączy kapłanów z ludźmi chorymi, upodabniając ich do Chrystusa. Pięknie pisze o tym Autor Listu do Hebrajczyków: „Każdy bowiem arcykapłan spośród ludzi brany, dla ludzi jest ustanawiany w sprawach

odnoszących się do Boga, aby składał dary i ofiary za grzechy. Może on współczuć tym, którzy nie wiedzą i błędzą, ponieważ sam podlega słabości. I ze względu na nią powinien tak za lud, jak i za samego siebie składać ofiary za grzechy. A nikt sam sobie nie bierze tej godności, lecz tylko ten, kto jest powołany przez Boga” (Hbr 5, 1–4). Tam gdzie występuje w tej refleksji osoba kapłana, można dodać i osobę chorego, pacjenta w szpitalu, który tak jak kapłan jest wybrany i powołany przez Boga, aby „współczuć tym, którzy nie wiedzą i błędzą, ponieważ sam podlega słabości. I ze względu na nią powinien tak za lud, jak i za samego siebie składać ofiary za grzechy”.

Patrząc z perspektywy szpitalnej jeszcze wyraźniej widać, że każde życie jest bezcenne, gdyż jest darem Boga. Jakże bardzo musi zatem boleć każdy zamach na życie ludzkie. Jednak żyjemy dzisiaj w takim świecie, w którym życie bardzo „staniało”. Kilka konfliktów zbrojnych w Afryce, wojna hybrydowa na wschodzie Ukrainy to już wystarczy, aby ofiary liczyć w tysiące. Dzisiaj ludzi nie bulwersuje już nawet publikowanie w Internecie egzekucji niewinnych ludzi z pobudek religijnych czy politycznych, bo tak naprawdę trudno stwierdzić, co jest gorsze: sam fakt bestialstwa wobec drugiego człowieka, czy obojętność innych na cierpienie niewinnych ludzi.

W tym natłoku wiadomości o śmierci w ostatnich dniach pojawił się jeszcze jeden *news*. Oto jeden z więźniów belgijskich, skazany na dożywocie, poprosił sąd o zgodę na pozbawienie go życia. To rodzaj eutanazji, która w tym kraju jest już umocowana prawem. Eutanazji podlegają nawet dzieci, choćby takie, które zagrożone są utratą wzroku.

Jaki motyw stoi u podstaw takiej decyzji więźnia? Otóż uważa on siebie za „potwora” i twierdzi, że się nie zmieni, dlatego prosi o pozbawienie go życia, bo nie zasługuje na nie. Jak głęboko musi być zraniony ten człowiek, skoro uważa siebie za niegodnego miana człowieka, który ma prawo żyć. Chrześcijanin ma prawo jednak zapytać: czy dla mordercy, który zgwałcił i zabił młodą dziewczynę nie ma już szans na nawrócenie?

Więzienie jest z pewnością dotkliwą karą. Dla niektórych tak wielką, że wolą umrzeć niż cierpieć w odosobnieniu. Jednak o to właśnie chodzi w więzieniu, o dotkliwą karę, aby to była retribucja, czyli sprawiedliwa

odpłata za przestępstwo według starożytnej reguły autorstwa Seneki: *punitur quia peccatum est*. Pobyt w więzieniu ma też uświadomić więźniowi ekspiacyjną wartość ponoszonej kary, dzięki której może odpokutować za winę i zasłużyć na powrót do życia w społeczeństwie. Odbywanie kary w więzieniu to także restytucja, czyli możliwość przeproszenia ofiary za wyrządzoną jej krzywdę, wynagrodzenia jej poniesionych strat, co w konsekwencji przyczyni się do obniżenia poczucie winy i uspokojenia sumienia. Pobyt w więzieniu musi jednak bardzo boleć, skoro niektórzy więźniowie wolą śmierć niż taką karę.

Trochę inaczej wygląda pobyt w szpitalu. Tam nikt nie idzie za karę, a jednak zdarza się, i to wcale nie tak rzadko, że chorzy czują się „poszkodowani” idąc do szpitala. Zastanawiałem się również nad tym, dlaczego pacjenci chcą jak najszybciej opuścić szpital? Czyżby traktowali to miejsce jak więzienie? Zastanawiając się nad odpowiedziami na te pytania, uświadomiłem sobie, że może to być kwestia podejścia do prawdy. Szpital, tak jak więzienie, stawia bowiem człowieka wobec konieczności poznania prawdy o samym sobie. Chorobę równie trudno jest bowiem uznać za osobistą „własność”, zresztą jak i popełnione przestępstwo, i uczynić ją częścią swojego życia. Człowiek chce wierzyć, że to tylko chwilowa niedyspozycja i szybko będzie mógł wrócić do swojego poprzedniego życia. Stając w prawdzie dla człowieka chorego, to znaczy skonfrontować siebie z wartością absolutną i godnością nienaruszalną ludzkiego życia. Każdy chory ma prawo, które najczęściej staje się obowiązkiem, aby traktować chorobę jako zmierzanie do zdrowia. Pobyt w szpitalu to zatem czas powracania do zdrowia, a nie droga do śmierci.

W szpitalnej rzeczywistości człowiek chory uświadamia sobie, że nie ma jednak prawa decydować o zakończeniu swojego życia. Jeśli natomiast człowiek – stworzenie, chce być równy Bogu i decydować o zakończeniu swojego życia, to gardzi Bogiem, który obdarował go życiem. Bardzo trafnie wyraził to św. Augustyn twierdząc, że taki człowiek kieruje się „miłością własną, posuniętą aż do pogardy Boga” (por. św. Augustyn, *De civitate Dei*, XIV, 28, PL 41, 436: *amor sui usque ad contemptum Dei*). Grzech pierwotny sprowadził na człowieka śmierć cielesną, ale to nie on sam może decydować o zakończeniu życia ziemskiego.

Istnieje natomiast duchowa śmierć, gdy człowiek traci przez popełnione zło (grzech) łaskę uświęcającą. Śmierć duchowa jest z pewnością bardziej bolesna niż śmierć cielesna, „bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je. Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł? Albo co da człowiek w zamian za swoją duszę?” (Mt 16, 24–26). Tylko człowiek z wrażliwym sumieniem może tego doświadczyć: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje” (Mt 18, 24). I tutaj pojawia się problem nawrócenia, czyli stanięcia wobec prawdy.

Najpierw jednak trzeba sobie uświadomić, jakie skutki pociąga za sobą śmierć duchowa? Pierwszym symptomem jest ucieczka przed retribucją, czyli należną karą. Grzesznik, czyli osoba chora duchowo, nie chce uznać swojej winy, a jeśli nawet widzi swoje zło, to próbuje uczyć się z nim żyć. Może nawet jest to trudne na początku, ale z czasem grzech zaczyna panować nad człowiekiem, nad jego intelektem i wolną wolą. Człowiek umiera duchowo, czyli odrzuca całkowicie dobro, nawet w najbardziej delikatnej postaci. Dla człowieka, który umiera duchowo, jest tylko jeden ratunek: Boże Miłosierdzie.

Drugi ważny objaw choroby duchowej to brak pokuty. Grzesznik nie chce pojednać się z Bogiem, ani z ludźmi. Staje się egoistą, a z czasem egocentrykiem, którego życie skoncentrowane jest na jego osobie. Człowiek taki nie potrzebuje ani Boga, ani ludzi. I wreszcie oznaką choroby duchowej jest brak zadośćuczynienia za wyrządzoną krzywdę. Sumienie przestaje dokuczać, a człowiek odbiera świat tylko zmysłami. Nic go nie jest w stanie ani ucieszyć, ani zmartwić.

Człowiek w stanie choroby duchowej nie przebywa jednak w „szpitalu” na leczeniu, ale w „więzieniu”, gdzie odbywa karę. Tym więzieniem jest on sam dla siebie. To nie mury go oddzielają od innych, ale pycha jest jego więzieniem. Taki człowiek potrzebuje nie lekarstwa, ale nawrócenia.

Św. Jan Chryzostom, w swojej homilii *O szatanie kusicielu. Pięć dróg pojednania z Bogiem* (św. Jan Chryzostom, *Homilia 2, 6*, w: *Liturgia godzin*, s. 372–373 [tom dodatkowy]) pokazuje pięć sposobów wybawiania człowieka od śmierci duchowej i nawrócenia. W nawróceniu nie chodzi

o spokój ducha, ani o rozwój duchowy. Chodzi o pojednanie z Bogiem. Każdy człowiek potrzebuje nawrócenia, ale jego przykład powinni dawać kapłani, którzy oddali Jezusowi do dyspozycji swoją osobę i poświęcili swoje życie na służbę Kościołowi. Spróbujmy zatem przyrzeć się wskazaniam, jakich udziela ten święty Biskup wyznawcom Chrystusa.

Pierwsza droga pojednania z Bogiem to uznanie swoich słabości ludzkich, swojej niedoskonałości, a potem wyznanie swoich grzechów. To wystarczy, aby Pan przebaczył grzesznikowi. Kto bowiem potrafi wyznać swoje grzechy, stara się później ich unikać. Trzeba więc uwrażliwiać i poruszać nieustannie swoje sumienie, tego wewnętrznego sędziego, aby nie zostać oskarżonym przed trybunałem sprawiedliwości Bożej. Ta droga pojednania jest najlepsza (św. Jan Chryzostom, *Homilia 2, 6*, w: *Liturgia godzin*, s. 372 [tom dodatkowy]). Czy najłatwiejsza? Zwłaszcza dla kapłanów, dla chorych?

To kapłan jest powołany do udzielania rozgrzeszenia w sakramentalnym znaku pokuty. Wysłuchując ludzkich grzechów, dając pouczenie, wyznaczając pokutę, rozgrzeszając, kapłan jest Chrystusem, jest Kościołem. W imieniu Chrystusa i Kościoła wykonuje najwyższą władzę w pojednaniu człowieka z Bogiem.

Kto może jednak pomóc samemu kapłanowi w nawróceniu, który z wysokości Chrystusa i Kościoła musi zejść na niskości człowieczeństwa i grzeszności? W tym pytaniu nie kryje się żaden podstęp. Chodzi bowiem o to, aby kapłan nie czuł się w konfesjonale jak sędzia, ale jak miłosierny i kochający Ojciec. Taką postawę można osiągnąć poprzez kształtowanie przez każdego kapłana indywidualnej relacji z Chrystusem. Kapłan musi prowadzić nieustanny dialog ze swoim Mistrzem, musi Go słuchać, zadawać Mu pytania, rozmawiać, przedstawiać Mu prośby, dziękować za wszystko, a także przeproszać. Tak, kapłan powinien przeproszać Chrystusa, u Niego szukać zrozumienia, pociechy, rady, akceptacji, lub wysłuchać nagany, pouczenia, napomnienia. I tutaj każdy chory, każdy pacjent w szpitalu może odnaleźć sens swojej choroby swojego cierpienia: jeśli chce być wysłuchany, musi nauczyć się słuchać innych, słuchać całym sobą i słuchać „całego” człowieka z jego dobrem, ale również z bagażem doświadczenia zła.

Kapłańskie pojednanie z Bogiem to nie tylko sakramentalna spowiedź, urzędowa pokuta, obowiązek płynący z wypełnianej funkcji. W swojej osobie kapłan reprezentuje Chrystusa i Kościół, któremu jego Założyciel powierzył władzę odpuszczania grzechów. Jeśli kapłan szafuje sakrament pojednania, to korzysta z władzy Chrystusowej, do czego upoważnia go Kościół. W tym sakramencie, kapłan jako osoba, jest znakiem obecności Chrystusa i przedstawia majestat Kościoła, przez który Chrystus zbawia człowieka. W wypełnianiu takiej roli kapłan doświadcza miłości miłosiernej, która leczy duszę i otwiera człowieka na Chrystusa. Ile dobra mógłby zdziałać każdy chory, każdy pacjent w szpitalu, gdyby poczuł się powołany do przebaczenia i wybaczenia innym.

Z perspektyw człowieka chorego, cierpiącego na sakrament pokuty trzeba zatem patrzeć nie tylko przez pryzmat petenta, ale także w perspektywie kapłana, który wysłuchując sakramentalnego wyznania win grzesznika, sam też dokonuje rozrachunku ze swoich grzechów we własnym sumieniu. Grzechy wyznawane w spowiedzi przez petentów przepływają przez kapłańskie serce, poruszają jego sumienie, niepokoją jego duszę. Tak uwrażliwionemu kapłańskiemu sercu potrzebna jest nie tylko spowiedź; ono musi mieć prawo uzalić się i wykrzyczeć się przed Chrystusem, oskarżyć zmysły za brak czujności, obwinić umysł za zachłanność w poszukiwaniu wiedzy, pobudzić ciało do uznania wyższości ducha, uznać uwikłanie w codzienność, która opanowuje jak pajęcza sieć serce kapłana. W życiu kapłańskim można jednak wyraźnie zobaczyć, że przyznanie się do swojej słabości, wyznawanie grzechów nie odbiera człowiekowi godności, ale wręcz przeciwnie – wzmacnia go i pomaga w duchowym rozwoju. Wyznanie grzechów nie jest bowiem sprawą z drugim człowiekiem, ale z Bogiem, który zna serce każdego człowieka, takie serce kocha i w takim sercu każdego człowieka chce żyć.

Istnieje także druga droga pojednania z Bogiem, nie gorsza od poprzedniej, a mianowicie: nie pamiętać doznanych krzywd, panować nad gniewem, darować winy bliźnim. To czyniąc otrzymamy odpuszczenie win, których dopuściliśmy się względem Boga. To drugi sposób oczyszczenia się z grzechów: „Jeśli bowiem przebaczyście ludziom ich przewinienia

i wam przebaczy Ojciec wasz niebieski” (św. Jan Chryzostom, *Homilia* 2, 6, w: *Liturgia godzin*, s. 372 [tom dodatkowy]).

To dosyć symptomatyczne, że św. Jan Chryzostom na drugim miejscu na drodze pojednania z Bogiem stawia człowieka. Jeżeli Bóg wybaczy, dlaczego człowiek ma nie wybaczyć? Z Ewangelii znana jest taka kolejność pojednania: „Jeśli przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przez ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Potem przyjdź i dar swój ofiaruj” (Mt 5, 23–24). Nie należy jednak tak łatwo zmieniać ustalonej wcześniej kolejności. Jeżeli chcesz pójść i pojednać się ze swoim bratem, to musisz iść z Chrystusem w swoim sercu. Mało to, trzeba w drugim człowieku widzieć Chrystusa. Człowiek przychodzi do człowieka, ale jednocześnie to Chrystus łączy ludzkie serca. W imię Chrystusa ci wybaczam!

Człowiek nigdy nie będzie miał w sobie tyle sił, aby sam z siebie powiedzieć: wybaczam, zapominam, nie gniewam się. Takie deklaracje, pomijając ich psychologiczny charakter, są wyrazem pragnień i potrzeb duchowych ludzkiego serca. Człowiek bowiem nie jest w stanie żyć w gniewie i to nieprawda, że można spać spokojnie z poczuciem krzywdy doznanej lub wyrządzonej, która tak samo boli. Wybaczenie, jak i otrzymanie wybaczenia, jest potrzebne człowiekowi do jego codziennego życia. W pewnym sensie jest to zatem tylko czysto ludzka sprawa: wybaczać jako pokrzywdzony i przyjmować wybaczenie jako krzywdzący. Pomijając patologiczne przyczyny trwania w gniewie, każdy człowiek jest zdolny do wybaczenia drugiemu człowiekowi tylko z tej racji, że jest człowiekiem, a może aż człowiekiem.

Kapłańskie przebaczenie drugiemu człowiekowi nie zawiera jakichś nadzwyczajnych znamion pojednania. Ten, który codziennie rozmawia z Chrystusem, sprawuje Jego Ofiarę, udziela w Jego imię odpuszczenia grzechów nie może inaczej pojednać się osobiście z Chrystusem, jak przez drugiego człowieka. Kapłan, solidaryzując się z drugim człowiekiem, łączy się z Chrystusem i to ma podstawowe znaczenie dla jego duchowego wzrostu. Kapłan – człowiek i drugi człowiek, w którym żyje Chrystus stanowią nierozłączną całość. Dlatego wszelkie nieporozumienia kapłana z ludźmi tak bardzo boją. To nie tylko dzieci są pod szczególną opieką

Bożą, to każdy człowiek jest niepowtarzalnym bliźnim Chrystusa. Dlatego każdy kapłański gest wybaczenia powinien płynąć z ewangelicznej troski o zbawienie drugiego człowieka. Kapłan wybacza nie dlatego, że rozumie taką konieczność, potrzebuje tego, ale przebacza ponieważ to prowadzi drugiego człowieka do zbawienia. Kapłańskie przebaczenie jest więc niejako przedłużeniem sakramentu pojednania, który szafuje kapłan.

Czy można mówić, że kapłan modli się inaczej niż wierni świeccy? Czy modlitwa człowieka chorego jest inna niż modlitwa człowieka zdrowego? Może lepiej od razu zadać pytanie: czym wyróżnia się modlitwa kapłańska, modlitwa pacjenta w szpitalu? Św. Jan Chryzostom pisze, że z Bogiem łączy człowieka należyta, żarliwa modlitwa płynąca z głębi serca (św. Jan Chryzostom, *Homilia 2, 6*, w: *Liturgia godzin*, s. 372 [tom dodatkowy]). Modlitwa uczniów Chrystusa nie zawsze jest należyta, żarliwa; zdarza się, że z Bogiem rozmawia umysł człowieka, zwraca się do Niego ciało ludzkie, a serce pozostaje zamknięte i milczy. Modlitwa płynie z serca wtedy, gdy jest ono niespokojne, pobudzone, wrażliwe, gorące. Tylko miłość może takim uczynić serce ludzkie. Jednak dodać tu należy, że i cierpienie, choroba, samotność, ból, beznadzieja, opuszczenie, lęk i strach mogą uwrażliwić, a potem uszlachetnić serce człowieka i uczynić je gotowym do szczerzej, czulej rozmowy z Bogiem.

Serce kapłańskie musi kochać, bo takie jest całe powołanie kapłańskie – służyć w miłości. Sakrament kapłaństwa nie daje jednak nic po ludzku. Przyjmując święcenia człowiek nie staje się ani mądrzejszym, ani piękniejszym, ani bogatszym, ani ważniejszym, ani lepszym. Serce kapłańskie może kształtować tylko Chrystus, a żaden kapłan nie może oprzeć się Jego miłości. Jest to bowiem miłość zbawcza, pokornie doskonała i potrafi każde serce, także zranione serce kapłańskie, ożywić, poruszyć, uwrażliwić. Kapłan dla miłości Chrystusowej poświęca siebie i swoje życie na Jego służbę. Mając zaś miłość Chrystusa posiada się wszystko. Jeśli nawet w życiu kapłana dochodzą od czasu do czasu do głosu ludzkie pragnienia, to Chrystus potrafi w sercu kapłańskim ocalić to, co sam uczynił.

Św. Jan Chryzostom podaje jeszcze czwarty sposób pojednania z Bogiem. Jest to jałmużna (św. Jan Chryzostom, *Homilia 2, 6*, w: *Liturgia*

godzin, s. 372 [tom dodatkowy]), która posiada naprawdę wielką moc wypraszenia łaski miłosierdzia Bożego. Dzisiaj rządzi światem słowo „kryzys”. Ludzie boją się stracić pracę, lękają się, że nie będą mieć pieniędzy na spłatę rachunków, na utrzymanie rodziny. Otwarcie się na potrzeby innych ludzi może nas uleczyć z tych lęków. Pomagając innym, poznaje się bowiem, co tak naprawdę jest najważniejsze w życiu człowieka. Najważniejsze jest żyć z Bogiem, pojednać się z Nim, zaufać Mu i kochać Go. Dlatego św. Jan Chryzostom poucza: „Nie bądź przeto beczynny, ale codziennie postępuj drogami. Są bowiem łatwe i ubóstwem nie możesz się wymawiać. Jeśli nawet żyjesz w wielkim niedostatku, możesz wyzbyć się gniewu, odznaczać się pokorą, modlić się wytrwale i wyznawać grzechy, a żadne ubóstwo nie będzie ci przeszkodą. Ale cóż mówię? Nawet na tej drodze pokuty, na której wypada dzielić się pieniędzmi (mam na myśli jałmużnę), ubóstwo nie przeszkadza w wypełnianiu przykazania” (św. Jan Chryzostom, *Homilia 2, 6*, w: *Liturgia godzin*, s. 373 [tom dodatkowy]). Co więc powinien czynić chrześcijanin? Korzystać ze świata, a nie służyć światu. Co to znaczy? Znaczy to, aby posiadać doczesne dobra tak, jakby się ich nie posiadało (por. św. Augustyn, *Komentarz do Psalmów*, w: *Liturgia godzin*, t. 4, s. 421).

Jest wreszcie piąty sposób pojednania z Bogiem: to postępowanie z pokorą i skromnością. Pokora jest potrzebna, aby przyjąć miłość Boga. Jeśli człowiek przez pychę nie może pogodzić się z niedoskonałością swojego życia, to również nie będzie widział w swojej ludzkiej miłości braków. Jeżeli natomiast z pokorą uzna, że jego życie jest niedoskonałe i taka też jest jego miłość, to przyjmie dar Bożej miłości, która porządkuje życie człowieka i wydoskonala jego ludzką miłość.

Żeby udowodnić tę tezę, trzeba sięgnąć do tajemnicy zbawienia. Św. Augustyn pisze: „Błogosławieni jesteśmy, jeżeli czynimy to, co słyszemy, i wyśpiewujemy. Nasze bowiem słuchanie jest siewem, działanie – owocem siewu. Już przedtem wspomniałem, abyście nie przebywali w kościele bezowocnie, słuchając o tak wielu świętych sprawach, a nie postępując święcie. Ponieważ «łaską jesteście zbawieni – jak mówi Apostoł – nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił; łaską zabawieni jesteście». Bo nie prowadziliśmy przedtem życia tak świętego, aby Bóg mógł je umi-

łować i powiedzieć: Zstąpmy, przyjdźmy z pomocą ludziom, albowiem postępują godnie. W rzeczywistości nie podobało mu się nasze życie. Nie miał upodobania w tym, co czyniliśmy. Podobało Mu się jedynie to, co sam w nas uczynił. Dlatego wszystko, co czynimy, odrzuci, ocali zaś to, co sam uczynił” (św. Augustyn, *Kazanie 23 A, 1–4*, w: *Liturgia godzin*, s. 392. [tom dodatkowy]).

Jeżeli Bóg kocha człowieka, to obdarza go miłością bezwarunkową – na miłość Boga nie trzeba więc zasługiwać. Miłości Bożej nie można też odrzucić, bo jest to miłość zbawcza, czyli jest darem Boga, którego woła musi się wypełnić w życiu każdego człowieka. Miłość Boża odkrywa niedoskonałości ludzkiej miłości, która ściśle związana jest z życiem człowieka. A Bóg nie ma upodobania w tym, jak człowiek żyje. Bóg kocha człowieka, a nie jego życie. Ponieważ jednak człowiek nie może Boga kochać inaczej niż żyje, dlatego Bóg obdarza go swoją miłością. Z tej miłości rodzi się w człowieku dobro. Jeśli więc Bóg odrzuci wszystko, co czynimy, „ocali zaś to, co sam uczynił”, to uznanie tego oznacza właśnie być pokornym.

Żeby uznać doskonałość miłości Bożej i niedoskonałość miłości ludzkiej człowiek potrzebuje pokory. Na czym ona polega? Jezus „potężny, unizył się, unizony, został zabity, zmartwychwstał i został wywyższony po to, aby nie pozostawić w otchłani zmarłych, ale w Sobie wywyższyć tych, których już wywyższył przez wiarę i wyznanie wiary przynoszące usprawiedliwienie. Oto jak przekazał nam drogę pokory” (św. Augustyn, *Kazanie 23 A, 1–4*, w: *Liturgia godzin*, s. 393 [tom dodatkowy]).

Oto pięć sposobów pojednania z Bogiem, które prowadzą człowieka do nawrócenia i zmiany jego życia. Pierwszy polega na uznaniu swoich grzechów, drugi na darowaniu bliźnim krzywd, trzeci polega na modlitwie, czwarty sposób prowadzi przez jałmużnę, piąty przez pokorę. Kapłan, który pragnie dostąpić miłosierdzia, sam musi być miłosierny. „Daruj, jeśli ktoś cię obraził; podziel się tym, czego masz pod dostatkiem. Zresztą, czymże się dzielisz, jeśli nie tym, co otrzymałeś od Pana? Gdybyś darował ze swego, byłaby to hojność z twojej strony, ponieważ jednak dajesz Jego własność, twój czyn jest oddawaniem. «Cóż bowiem masz, czego byś nie otrzymał?». Oto ofiary najbardziej miłe Bogu: miłosierdzie, pokora,

wyznawanie win, pokój; miłość. Jeśli przeto starać się o nie będziemy, w pokoju oczekiwać możemy Sędziego, który „będzie sądził świat ze słusnością i ludy według swojej prawdy” (św. Augustyn, *Komentarz do Psalmów*, w: *Liturgia godzin*, t. 4, s. 421–422).

Skoro więc nauczyliśmy się sposobów nawrócenia i zmiany życia, korzystajmy z nich, abyśmy mogli z ufnością przystąpić do świętego stołu, abyśmy z wielką radością podążali na spotkanie Chrystusa, Króla Chwały i na zawsze osiągnęli dobra wieczne przez łaskę, miłosierdzie i dobroć Chrystusa (św. Jan Chryzostom, *Homilia 2, 6*, w: *Liturgia godzin*, s. 373 [tom dodatkowy]).

Benedykt XVI, w przemówieniu do kapłanów polskich, powiedział: „Spotykam się z wami dzisiaj w archikatedrze warszawskiej, której każdy kamień przypomina bolesne dzieje waszej stolicy i waszego kraju. Na jak wielkie próby byliście wystawiani w nie tak dawnych czasach! Pamiętajmy o heroicznym świadkach wiary i ufności, którzy oddali swe życie Bogu i ludziom, o kanonizowanych świętych i o zwyczajnych ludziach, którzy pozostali prawi, autentyczni i dobrzy, nie ulegając zwątpieniu, nie tracąc wiary. W tej katedrze szczególnie wspominam Sługę Bożego kardynała Stefana Wyszyńskiego, którego nazywacie «Prymasem Tysiąclecia», który – zawierając siebie Chrystusowi i Jego Matce – umiał wiernie służyć Kościołowi nawet pośród długotrwałych, bolesnych doświadczeń. Z uznaniem i wdzięcznością wspominamy tych, którzy nie ulegali siłom ciemności. Uczymy się od nich odwagi, konsekwencji i wytrwałości w dochowaniu wierności Ewangelii” (Benedykt XVI, *Przemówienie podczas spotkania z duchowieństwem*, Warszawa 25 V 2006).

Te słowa można uznać za wskazówki dla kapłanów, którzy mogą służyć Kościołowi i podążać drogą świętości, jeśli za najważniejsze w swoim życiu uznają wierność miłości Chrystusowej. Takie kapłańskie świadectwo miłości o jednoznacznej wymowie prowadzi do prawdziwego zbliżenia między ludźmi. Jego owocem zaś będzie nowa jakość życia współczesnych wyznawców Chrystusa.

Kapłani są sługami Kościoła. Swoją misję mogą wypełniać dzięki osobowej więzi z Chrystusem. Kapłanowi nie jest jednak łatwiej niż innym chrześcijanom trwać w wierności składanym przyrzeczeniom.

Jeśli więc z niedoskonałości ludzkiej kapłan popełnia grzechy, tak jak każdy człowiek, to ma przed sobą różne drogi pojednania z Bogiem. Doceniając ważność każdej z nich, trudno nie podkreślić, za św. Janem Chryzostomem, pierwszeństwa dwóch pierwszych dróg: najlepsza to wyznanie swoich grzechów i nie gorsza od poprzedniej – darowanie winy bliźnim. Te dwie drogi prowadzą kapłana do świętości. Jak można kapłanom pomóc w przemierzaniu tych dróg? Wydaje się, że tylko jedna rada ma w tym wypadku znaczenie: „Nie bądź przeto bezczynny, ale codziennie postępuj tymi drogami” (św. Jan Chryzostom, *Homilia 2, 6*, w: *Liturgia godzin*, s. 373 [tom dodatkowy]).

Natomiast jak ważne są te drogi, świadczą o tym modlitwy brewiarzowe, które towarzyszą kapłanom w ich codziennej posłudze i uświęcaniu się. Bardzo często nawiązują one do grzeszności człowieka i miłosierdzia Bożego. Oto jedna z nich: „Przed oczy Twoje, zagniewany Panie, składamy grzechy przez nas popełnione, gotowi przyjąć zasłużoną karę za zło bez miary. Gdy miecz swój wznosisz, aby cios należny wymierzyć winnym, pokutować chcemy, i z gorzkim płaczem wyznajemy błędy, ufając Tobie. Lecz kiedy, Boże, srogość uśmierzyłeś i chcesz przebaczyć marnotrawnym synom, szukamy znowu krętych dróg ciemności, co wiedą w pustkę. Prosimy Ciebie, pełni szczerzej skruchy, byś nam dopomógł wyjść z krainy śmierci, i całym sercem pełnić Twoją wolę przez resztę życia” (*Godzina czytań. Hymn. Piątek czwartego tygodnia*, w: *Liturgia godzin*, t. 4, s. 943).

I na koniec jeszcze jedna uwaga. Nie każda forma „odosobnienia” jest karą za grzechy. To prawda, że człowiek chory duchowo czuje się samotny, bo oddziela go od innych ludzi brak prawdziwej „miłości do samego siebie”. Aby można kochać innych, trzeba najpierw nauczyć się kochać siebie. Św. Bernard nauczał, że z „rozważania”, to znaczy z modlitwy, medytacji i kontemplacji, powinna rodzić się troska o duszę i służba ludziom. Tę myśl wyraża precyzyjnie w traktacie poświęconym „rozważaniu”, przesłanym papieżowi Eugeniuszowi III: „Jeśli [...] chcesz być wszystkim dla wszystkich, na podobieństwo Tego, który uczynił się wszystkim dla wszystkich, pochwalam twą wielkoduszność, pod warunkiem jednak, że ogarnia rzeczywistość wszystkich. Jak zaś może

ogarniać wszystkich, jeśli ty sam jesteś z niej wykluczony? Wszyscy biorą z ciebie, wszyscy piją z twojej piersi jakby z publicznego źródła, a ty sam pozostajesz spragniony? Pijże i ty wraz z innymi wodę z własnej studni. Pamiętaj zatem, by – nie mówię zawsze, nie mówię często, ale co jakiś czas – zwracać się ku samemu sobie” (św. Bernard, *De consideratione*. V, 6; ed. Cisterc. 3, s. 400). Tym jest nawrócenie w swej najgłębszej istocie – ilekroć bowiem człowiek czuje się niepotrzebny, porzucony, niezrozumiany, a jednocześnie będzie czuł, że jest do niczego, a jego życie jest bezwartościowe – powinien zwrócić się ku samemu sobie, bo to prowadzi do spotkania z Jezusem.

Jezus, „w swojej dobroci pragnie nawiedzić tych, którzy doznają pokus i utrapienia, aby w obliczu trudności uchronić ich przed upadkiem. Tak więc Jego Głowa pokrywa się rosą i kroplami, kiedy cierpi Jego Ciało. Wtedy właśnie należy czuwać, aby Oblubieniec, gdy nadejdzie, nie musiał odejść nie poproszony. Gdy bowiem śpisz i serce twe nie czuwa, odchodzi nawet nie pukając. Jeśli zaś czuwa twoje serce, wtedy puka i prosi, byś Mu otworzył. Istnieją więc drzwi duszy, istnieją też bramy, o których powiedziano: «Bramy, podnieście swe szczyty i rozstąpcie się, przastare podwoje, aby mógł wkroczyć Król chwały». Jeśli zechcesz podnieść bramę twej wiary, wejdzie do ciebie Król chwały, odbywając tryumf swego zwycięstwa odniesionego podczas Męki. Także i sprawiedliwość ma swe bramy. Czytamy o nich słowa, które Pan wypowiedział przez swego Proroka: «Otwórzcie mi bramy sprawiedliwości». Dusza więc ma swoje drzwi, ma też swoją bramę. Przychodzi i puka do niej Chrystus, puka do drzwi. Otwórz Mu: pragnie wejść, pragnie znaleźć oblubienicę czuwającą” (*Z komentarza św. Ambrożego, biskupa, do psalmu sto osiemnastego (nr 12. 13–14)*, w: *Liturgia godzin*, t. 3, s. 387–389).

Szymon Słupnik w swoich czasach był żywą ikoną świętości, a teraz jest czczony przez Kościół na całym świecie. Jego modlitwa była nieustająca, a jego miłość powszechna, ponieważ przyjmował każdego, kto do niego przybywał, z bliska i z daleka, bardzo wielkiego i bardzo małego. Ponadto nosił na ciele rany ukrzyżowanego Chrystusa (por. Teodoret z Cypru, *Historia religijna*, 26). W żywocie napisanym przez jednego ze swoich uczniów piętnaście lat po jego śmierci, nadzwyczajne powołanie

św. Szymona opisane jest następująco: „przy pomocy cierpień swego sługi Bóg pragnął przebudzić świat z jego głębokiego odrętwienia”. Świat dzisiejszy potrzebuje przebudzenia do miłości Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego.

To wezwanie dotyczy również chorych przebywających w szpitalach. To oni potrafią przebudzić świat z odrętwienia, którego główną przyczyną jest brak miłości. Ludzie chorzy w szpitalach, jeśli odkryją swoją godność kapłaństwa chorych, które jest uczestnictwem w kapłaństwie chwalebego cierpienia Jezusa, sami zdrowieją z choroby duchowej i cielesnej, a jednocześnie pomagają innym odnajdywać źródło pokoju w swoim sercu. O takiej „chorobie” można powiedzieć, że nie zmierza ona do śmierci, ale do wyzdrowienia i prawdziwego, nowego życia.



Rozdział
XIV

PRZED SAMYM ZAKOŃCZENIEM OPOWIEŚĆ JUBILEUSZOWA: „TERAZ JEST NAS DWÓCH”

W tym roku obchodzę trzydziestopięciolecie kapłaństwa (10 czerwca 2019 roku). Ten jubileusz jest okazją do wspomnień. W czasie pobytu w szpitalu na oddziale kardiochirurgii w Szpitalu św. Jadwigi w Rzeszowie niejedną raz wracałem w myślach do początków mojego kapłaństwa. Oto moja o tym opowieść.

Pierwsze wrażenia z przyjazdu do Wyższego Seminarium Duchownego we Włocławku mogę opisać tak. Jest wrzesień 1977 roku. Przekroczyłem furtę seminaryjną i znalazłem się w „nowym świecie”. Otoczyła mnie cisza. Można wyobrazić sobie to uczucie porównując wejście do kościoła wprost z ruchliwej ulicy. Miejsce święte. Każdy kościół, mimo swojego ogromu, najczęściej wielkiej przestrzeni, wydaje się miejscem przyjaznym; to miejsce uświęcone obecnością Boga. W taki sposób mogę opisać moje wejście do budynku seminarium we Włocławku w roli alumna.

Przez kilka następnych dni zwiedzałem seminarium, podążając długimi korytarzami i krętymi korytarzykami. Seminarium miało w każdym

miejscu inny klimat. Kościółek seminaryjny, starożytna budowla, do której wchodzi się z seminaryjnego korytarza. Panuje tu klimat „nabożeństwa”. To nie tylko zapach kadzidła, ale też cichnące rozmowy, znak krzyża czyniony z wodą święconą; niektórzy przyklękają na korytarzu, gdy drzwi kościółka są uchylone.

Wychodząc z kościółka, można było przejść korytarzem, na którym były zawieszony stacje Drogi krzyżowej, do innego miejsca w seminarium: refektarza. Tu panował klimat „domowy”: wspólny stół, rodzinna atmosfera, zapach przygotowywanych w kuchni posiłków.

Wychodząc z refektarza można przejść schodami do biblioteki. Tutaj panuje klimat nauki. Obowiązkowa cisza, zapach składowanych w dużej ilości książek. Idąc z biblioteki można przejść obok infirmerii, do miejsca chwilowego odosobnienia dla chorych kleryków. Można je rozpoznać po zapachu lekarstw. Idąc dalej przechodzi się przez część dydaktyczną, z salami wykładowymi. W seminarium ważna jest też część „internatowa” – tutaj mieszkają alumni.

I wreszcie główne schody, przykryte czerwonym chodnikiem. Po wejściu na półpiętro zatrzymuję się przed dziwną rzeźbą: na postumencie jest umieszczona głowa osła. Sam przemieniam się na chwilę w nieruchomy „posąg” i ze zdziwieniem patrzę szeroko otwartymi oczyma na „głowę osła”: dlaczego w tym świętym miejscu ktoś ośmielił się umieścić taką rzeźbę? Po dłuższym wpatrywaniu się w głowę osła spoglądam niżej, gdzie na postumencie umieszczony jest napis: „Teraz jest nas dwóch”. W tym miejscu trzeba na chwilę się zatrzymać. Takiej rzeźby nie było w Wyższym Seminarium Duchownym we Włocławku. To epizod zaczerpnięty ze wspomnienia, którego autorem jest Willi Lambert. Jest też dalsza część tych wspomnień, ale o tym nieco później.

Do tego momentu w moich wspomnieniach przeplatała się prawda i fikcja, historia i fabuła, fakty i wytwory wyobraźni. W seminarium tak łatwo bowiem zatracić kontakt z rzeczywistością. Młody człowiek, zaraz po maturze, wchodząc do seminarium, z trudnością odnajduje się w „realiach” miejsca formacji do kapłaństwa. Z początku udaje mu się odnajdywać „okruchy” wspomnień z dotychczasowego życia w konfrontacji z *alma mater*. Stąd stół w domu rodzinnym, klasa ze szkoły,

biblioteka, kościół. Po jakimś czasie wszystko się miesza: wspomnienia z faktami, dom rodzinny ze szkołą, kościół z kościółkiem.

Dla mnie ten czas mieszania się realiów z różnych miejsc zakończył się dość szybko powołaniem do odbycia zasadniczej służby wojskowej; trwała dwa lata w Brzegu nad Odrą (od 26 października 1977 do 16 października 1979). Wojsko – szkoła życia, bo z największego ofermi czyni dojrzałego mężczyznę, ale jednocześnie czas fikcji w różnej postaci i zwyczajnej ludzkiej głupoty. Jej streszczeniem może być historia, którą opowiadał o sobie jeden z sierżantów. „Wchodzę po służbie do domu. Żona od progu krzyczy: – Wazon. Spokojnie zdejmuję płaszcz i wiem na wieszaku, zdejmuję buty wojskowe i zakładam pantofle domowe; i zdążyłem złapać wazon 10 centymetrów nad ziemią”.

Realia i fikcja wojskowa nie pomagały rozwinąć się duchowo. Dlatego z wielkimi nadziejami powróciłem do seminarium. Tym razem szybko wszedłem w realia. Możliwość przejścia z pierwszego roku formacji seminaryjnej na trzeci wiązała się z zaliczeniem eksternistycznym egzaminów z roku drugiego. Udało się, ale do dzisiaj mam wątpliwości, czy było warto? Benedyktyni mają w regule zawołanie: „modlitwa i praca”. Ja wspominam swój czas w seminarium pod hasłem: nauka i modlitwa.

W mojej pamięci zapisali się wszyscy moi przełożeni, wychowawcy, profesorowie. Zetknąłem się z nimi w dość krótkim czasie po ukończeniu seminarium (cztery lata po święceniach) w nowej roli: jako wykładowca teologii pastoralnej, a następnie ojciec duchowny. Z niektórymi do dzisiaj się przyjaźnię. Wspominając pobyt w seminarium nie mogę pominąć pytania, które do dzisiaj sobie stawiam: jak wyglądałby ten czas, gdyby nie dwuletnia przerwa na odbycie służby wojskowej? Każdy ma swój czas na przygotowanie się do kapłaństwa. I zawsze ten czas jest za krótki.

Mądrzejszy o zdobyte doświadczenie z 34 lat kapłaństwa mam dzisiaj więcej pewności, że seminarium to nie tylko miejsce, ludzie, regulaminy, nauka, modlitwa, zdobywanie umiejętności pastoralnych. To coś więcej! Mając możliwość zatrzymania się w seminarium, kiedy okazjnie przyjeżdżam do Włocławka, z trudnością przypominam sobie szczegóły miejsca, bo obecnie budynki po remoncie nabrały nowego wyglądu.

Zawsze jednak czuję to samo: jestem u siebie, w swoim domu; i nie ma w tym stwierdzeniu żadnej przesady.

W tym miejscu wracam do wspomnienia, którego autorem jest Willi Lambert, ale i tutaj jest ono wymieszane z realiami mojego życia. Pewnego razu znalazłem się w kościele. Panował półmrok. Jedyne blask czerwonej lampki przy tabernakulum padał na ogromny krzyż, który wisiał w głównym ołtarzu. Nie modliłem się, trwałem. Nagle posłyszałem w swoim wnętrzu: Teraz jest nas dwóch! Czuję, że Jezus ukrzyżowany chce mi coś powiedzieć o mnie, o Sobie, o nas dwóch. – Ty jesteś zmęczony, przerażony, zrezygnowany. Popatrz na Mnie. Ludzie Mnie zamęczyli. – Nie rozumieją ciebie. A kto mnie rozumiał? Mówili Mi: twarda jest twoja mowa. – Zaprosiłeś ich, a oni nie przyszli. Mnie też to spotkało! – Jesteś smutny. Ja też byłem. – Kpią z ciebie. A ile razy ze Mnie się śmiali! – Musisz nieść swój krzyż. Popatrz na Mnie: przybili Mnie do krzyża. Czujesz się opuszczony przez Boga i ludzi? Ja w chwili śmierci wołałem: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił”. Jesteś sam! Od tej chwili będzie inaczej: Teraz jest nas dwóch! Ty i Ja, zawsze będziemy razem (na podstawie: Willi Lambert, *Teraz jest nas dwóch!*, w: J. Machnac, *Spróbuj to opowiedzieć*, Kalwaria Zebrzydowska 1991, s. 139–140). Ta opowieść powraca do mnie, gdy wspominam swój pobyt w seminarium i w swojej pierwszej parafii, gdzie w kościele mniszek kamedulek, u których w klasztorze przez dwa lata mieszkałem, modliłem się przed głównym ołtarzem, w którym wisi duży krzyż, a kościół nosi tytuł: Podwyższenia Krzyża.

Moi przełożeni w seminarium, profesorowie, podjęli ogromny trud, aby przygotować mnie do kapłaństwa, które w duszpasterstwie parafialnym staje się służbą. Mnie przypadła rola naukowca, a ta praca ma niewiele wspólnego z duszpasterskim doświadczeniem; z racji wykształcenia pastoralnego jestem raczej teoretykiem duszpasterskim. Tym bardziej czuję potrzebę, aby wspomnieniem mojego pobytu w seminarium przekazać obecnym alumnom Wyższego Seminarium Duchownego we Włocławku swoją „tajemnicę”: kapłaństwo zawsze może być piękne, ale trzeba nauczyć się być z Chrystusem: On i ja; w kapłaństwie będzie was zawsze dwóch. Trzeba jednak tę prawdę przyjąć, ciągle na nowo ją przypominać, wypełniać, żyć nią.

Patrząc na seminarium z perspektywy wspomnienia chciałbym wyrazić swoją wdzięczność. To nie są moje słowa, ale podpisuję się pod ich przekazem i ofiaruję je jako dar „ludziom w mojej podróży, którzy wskazali mi ścieżki, jakimi należy kroczyć i ścieżki, jakimi kroczyć nie należy; których siła i współczucie wznosiły pochodnię światła i wzywały mnie ku sobie; których słabość i ignorancja zaciemniały drogę i zrażały mnie do siebie. Ludziom w mojej podróży, którzy wskazywali mi, jak należy żyć i jak żyć nie należy; których wdzięk, osiągnięcia i wdzięczność wzniosły mnie ku pełni poddania się Bogu; których zgorzkniałość, zazdrość i zmarnowane dary odwiodły mnie od pustki egoizmu. Ludziom w mojej podróży, którzy wskazywali mi, kim jestem i kim nie jestem; których miłość, zachęta i zaufanie czule mnie otulały i delikatnie trącały; których osąd, rozczarowanie i brak wiary pobudzały mnie do głębszego zaangażowania i zdecydowania. Ludziom w mojej podróży, którzy nauczyli mnie miłości zarówno przez ciemność, jak i poprzez światło. Tym ludziom z głębi serca mówię: Niech was Bóg błogosławi i dziękuję wam, bowiem wasza radość i wasze poświęcenie uleczyło mnie i uwolniło (na podstawie M.M. Bowers, *Hold kobietom w mojej podróży*, w: J. Canfield, M.V Hansen, J.R. Hawthorne, M. Shimoff, *Balsam dla duszy kobiety*, Poznań 1998, s. 274–275).

Te słowa wdzięczności nabierają nowego sensu po szczęśliwie przeprowadzonej operacji mojego serca. Na mojej drodze nowego życia stanęło bowiem wielu bardzo życzliwych mi ludzi. Im również chciałbym powiedzieć: dziękuję. To słowo: „dziękuję” kieruję najpierw do Pana prof. dr. hab. Piotra Szymańskiego, którego uznaję za swojego przyjaciela. Dzięki Jego trosce o zdrowie mojego serca w opatrnościowo wybranym terminie trafiłem do Szpitala św. Jadwigi Królowej w Rzeszowie, gdzie poddałem się operacji serca. Moje z serca płynące podziękowanie kieruję również do wszystkich lekarzy z Kliniki Kardiologii w Szpitalu św. Jadwigi Królowej w Rzeszowie na czele z Panem prof. UR dr hab. Kazimierzem Widenką. Jego doświadczeniu medycznemu, ale też ludzkiej dobroci, zawdzięczam szczęśliwie przeprowadzoną operację serca. Mam w życzliwej pamięci wszystkie pielęgniarki, salowe, sprzątaczkę i dziękuję za opiekę w czasie choroby. Słowo: „dziękuję”, mam również dla Pana

prof. UR dr. hab. Andrzeja Przybylskiego, ordynatora Kliniki Kardiologii w Szpitalu św. Jadwigi w Rzeszowie z całym personelem lekarzy, pielęgniarek, salowych i sprzątaczek. Pragnę w to jedno słowo włożyć wszystkie uczucia związane z wdzięcznością, do których dołączam modlitewną pamięć. Włączam w nią również lekarzy, pielęgniarki i pozostały personel oddziału rehabilitacji kardiologicznej w Sanatorium „Helios” w Sopocie. Dziękuję również Panu doktorowi Jerzemu Minikowskiemu za opiekę medyczną podczas rehabilitacji kardiologicznej.

W pamięci mam też chorych, z którymi zetknąłem się w czasie pobytu w szpitalu i sanatorium. Łączy mnie z nimi nie tylko wspólnie spędzony czas, ale również doświadczenie wspólnoty w obdarowywaniu siebie nawzajem nadzieją na wyzdrowienie, za co serdecznie dziękuję, życząc im i ich rodzinom błogosławieństwa Bożego, które niechaj przyniesie dar zdrowia, pokoju serca i radości dnia codziennego.

ZAKOŃCZENIE

Człowiek poznaje świat dzięki zmysłom, których ma pięć: wzrok, słuch, dotyk, smak i węch. Poznanie to jest prawdziwe, ale wymaga udziału rozumu. To on interpretuje informacje dostarczane przez zmysły. Jedna z zasad epistemologicznych mówi: nie ma nic w umyśle, co by wprawdzie nie było w zmyśle (Arystoteles). Choć poznanie zmysłowe jest prawdziwe i na swój sposób doskonałe, to jednak jest tylko początkiem całego procesu odkrywania i poznawania otaczającej nas rzeczywistości. Dalszym etapem jest analiza i interpretacja rozumowa czynników zmysłowych. Natomiast nowych i najdoskonalszych możliwości poznania dostarcza dopiero serce: „Nie rzeczywistość sama, ale serce, z jakim ku niej przystępujemy, daje rzeczom kształty i kolory” (H. Sienkiewicz, *Na marne*, Warszawa 1901, s. 68–69). To serce jest szóstym zmysłem. Nie można go zamknąć jedynie w tajemnicy miłości. Tak, serce potrafi kochać, ale serce może też nienawidzić, zdradzać, zazdrościć, okłamywać. Serce może też być ciekawe, może odkrywać nowe „światy”, poznawać tajemnice, może cierpieć z miłości i z miłości żyć.

W szpitalnej rzeczywistości serce pełni jeszcze jedną funkcję: patrzy swoimi oczyma i słucha swoimi uszami, i dotyka samą obecnością, i czuje smak i zapach drugiego człowieka. Szósty zmysł to jednocześnie słuchanie całym sobą drugiego człowieka w całości; to obecność cicha i pokorna

przy drugim człowieku; to milczenie, które pozwala patrzeć na piękno i dobro drugiego człowieka. Jak bardzo człowiek cierpi, gdy nie posługuje się tym szóstym zmysłem. To nie tylko ból, to nieszczęście. Ludzie przebywający w szpitalu odkrywają ten zmysł, uczą się nim posługiwać i stają się coraz bardziej radosni. Jednocześnie jednak cierpią, patrząc na ludzi, którzy nie chcą słuchać, tylko mówią, mówią, mówią. Nie potrafią dzielić się swoją obecnością tu i teraz, bo zmysłami, uczuciami, pragnieniami są daleko. Ludzie byłiby szczęśliwsi, a świat byłby lepszy, piękniejszy, gdyby choć na chwilę zamienić go w szpital, aby ludzie poczuli się jak pacjenci i nauczyli się dawać rzeczom kształty i kolory swoim sercem, i sercem kochać wszystkich, nawet tych, którzy na miłość w oczach ludzkich nie zasługują.

I na sam koniec garść praktycznych rad, jak tego dokonać. Tu również z pomocą przychodzi geniusz Henryka Sienkiewicza w odkrywaniu tajemnic ludzkiego serca: „Miłość jest mgłą, która wytwarza się w głowie. Jeśli owa mgła opada na dół – na serce – następuje pogoda życia; jeśli pozostaje w głowie – pada deszcz łez”. Ta mądrość odnosi się wprost do ciała człowieka, którego ukoronowaniem jest głowa. Wszystkie zmysły są w głowie: wzrok, słuch, węch, smak, dotyk. Można zakochać się głową, czyli zmysłowo, ale taka miłość zatruwa człowieka od wewnątrz, taka miłość wyciska z oczu łzy. Rozum jest potrzebny, pisze H. Sienkiewicz, „bo rozum jest latarką, którą sobie musi świecić i cnota i dobroć i serce – inaczej mogą porozbijać nosy a co gorsza porozbijać nosy drugim” (*Rodzina Połanieckich*).

Jednak prawdziwa miłość potrzebuje nie tylko głowy, ale i serca. Dopiero wtedy, gdy rozbudzona zmysłami miłość trafi do serca, zmienia nie tylko życie człowieka, ale i jego samego. Człowiek z sercem kochającym jest pogodny, radosny, otwarty na innych ludzi. Człowiek, stworzony z miłości, powołany jest do miłości, ale jego zdolność kochania wymaga niestannego doskonalenia się w miłości, czyli wzrastania, dojrzewania; oznacza to, że miłość człowieka nieustannie się zmienia. Miłość prawdziwa nie jest jednorazowym aktem, w którym człowiek stara się wyrazić, to co myśli i czuje. Miłość spływająca z głowy do serca pobudza człowieka do działania, rozpira go wewnętrznie, daje poczucie siły; dzięki niej człowiek czuje się sobą, a jego życie nabiera sensu.

I dalej, idąc za mądrością H. Sienkiewicza, można miłość porównać do nasionka: „Miłość, jako nasionko leśne z wiatrem szybko leci, ale gdy drzewem w sercu wyrośnie, to chyba razem z sercem wyrwać ją można”. Jest więc miłość, która trwa wiecznie, ale warunek jest zawsze jeden: ta mgła zmysłowa, którą niektórzy ludzie uważają za miłość, musi opaść na serce, aby w nim rodziła się „pogoda ducha”. Można więc za H. Sienkiewiczem powiedzieć, że „kochać jest nie dość, trzeba umieć kochać i trzeba umieć nauczać miłości. Wszak rozkosze odczuwają [...] i nawet zwierzęta, lecz prawdziwy człowiek tym się właśnie odróżnia, że ją niejako w szlachetną sztukę zamienia, a lubując się nią wie o tym, całą jej boską wartość w myśli uprzytamnia, a przez to nie tylko ciało, ale i duszę nasycy” (*Quo vadis*).

Jeśli zaś nawet taką prawdziwą miłość, która jest w sercu, przywaliłaby góra goryczy, rozczarowania i boleści, to taka miłość dalej będzie żyć, gotowa zawsze wierzyć i przebaczać bez końca (*Potop*). Świat wydaje się dziś zwariowany, dlatego „w tym morzu zła, głupstw, niepewności i wątpliwości, jakim jest istnienie, jedna rzecz jest warta życia, niewątpliwa, mocna jak śmierć – to miłość. Nic nie ma poza nią... (*Bez dogmatu*). Wszyscy też jesteśmy narażeni na pokusy, ale wielkość człowieka, który kocha prawdziwie, polega na tym, że miłość w nim nigdy nie umiera. Nawet „najwięksi ludzie pod wpływem namiętności robili głupstwa – pisze H. Sienkiewicz – ale w tym właśnie ich wielkość, że poznawali się na tym dość wcześniej” (*Szkice węglem*).

Jest też podstawowy wymóg, którego spełnienie warunkuje prawidłowe działanie szóstego zmysłu. Słyszałem kiedyś o pewnej wolontariuszce, która dużo czasu spędzała w szpitalu, aby służyć najbardziej potrzebującym pacjentom. Była piękną dziewczyną, zawsze radosna, z szerokim uśmiechem na ustach i szczerym wyrazem twarzy. Już na pierwszy rzut oka budziła sympatię, a jej ciepły, aksamitny głos sprawiał przyjemność w słuchaniu jej. Mówiła niewiele, bo częściej słuchała z autentycznym skupieniem i zainteresowaniem drugą osobą. Nie byłoby przesady, gdyby nazwać ją aniołem, tym bardziej, że miała na imię Angelika. Była zawsze gotowa służyć każdemu pacjentowi, ale potrafiła też instynktownie zbliżyć się do tych najbardziej samotnych, zagubionych, wątpliwych,

zbuntowanych, załęcznionych. Wśród pacjentów był też jeden mężczyzna, który deklarował się jako ateista. Angelika i przy jego szpitalnym łóżku spędzała dużo czasu.

Pewnego razu zapytał ją:

– Angelika, skąd u ciebie bierze się taka odwaga?

– Z pokory – rzekła, ani przez moment nie zastanawiając się nad odpowiedzią.

– A co to jest pokora? – zapytał.

– Pokora to znaczy mieć odwagę powiedzieć pierwszy: kocham, drugiej osobie. Tak uczy Jezus w Ewangelii.

Prawdę mówiąc nie znam tekstu z Ewangelii, który potwierdzałby tę prawdę, ale z całej Ewangelii Jezusa płynie wezwanie do miłości, nawet miłości nieprzyjaciół; miłości, którą należy się dzielić; miłości do tych, którzy na nią nie zasługują; miłości, która nie rozróżnia, czy kocha Boga czy człowieka; miłości, która widzi, słyszy, czuje, smakuje i dotyka; miłości, która wierzy, ufa i budzi nadzieję; miłości nieoczekującej zapłaty i wdzięczności; miłości wymagającej, ale nie karzącej; miłości rozumiejącej i odczuwającej potrzeby innych ludzi; miłości poszukującej i przebaczącej wszystko i wszystkim; miłości, która potrafi płakać i śmiać się; miłości potrafiącej dzielić się wszystkim z innymi; miłości czuwającej, ale również przynoszącej ukojenie i odpoczynek. Jezus uczy kochać, Jezus kocha z nami i za nas, Jezus z miłości uczynił drogę do wiecznej szczęśliwości. Jezus też wzywa każdego człowieka, aby korzystał z szóstego zmysłu, zrobił pożytek z serca, z którego jak ze źródła płynie miłość.

Człowiek, który posługuje się szóstym zmysłem, potrafi zatem pierwszy powiedzieć: kocham. Nie jest to wcale takie łatwe, jak często uważają ludzie, którym tylko wydaje się, że naprawdę kochają. Szósty zmysł zawsze oznacza rezygnację z rozumowej kalkulacji zysków i strat. Dlatego człowiek z rozwiniętym szóstym zmysłem nie jest specjalistą „od wszystkiego”, nigdy też nie stoi z boku, obserwując grę, udzielając oficjalnych rad.

Natomiast człowiek z szóstym zmysłem bezinteresownie kocha i w imię bezinteresownej miłości potrafi oddać się do dyspozycji drugiego człowieka, zwłaszcza potrzebującego pomocy i wsparcia. Potrafi też

towarzyszyć innym ludziom w ich smutkach i radościach, lęku i nadziei. Ludzie z wyczulonym szóstym zmysłem są powołani i przygotowani do tego, aby najbliższe otoczenie czynić domem przyjaznym człowiekowi, gdzie znajdzie on sens życia i odkryje sens cierpienia i śmierci.

Sam też ucząc się ciągle posługiwać szóstym zmysłem, chciałbym podzielić się z Czytelnikami prawdziwie chrześcijańskim optymizmem i zaprosić ich do włączenia się w cichą akcję rozbudzania u innych ludzi szóstego zmysłu. Wszyscy bowiem, którzy szczerym sercem wyznają wiarę w Chrystusa, są powołani do dawania świadectwa miłości ewangelicznej, dlatego powinni modlić się i pielegnować bezinteresowność, wyrzeczenie, wierność, pobożność sakramentalną i życie skoncentrowane na Chrystusie. Jak to uczynić? Odpowiedź daje św. Augustyn: „Czy duch twój chce być zdolny do przewyciężenia twych pożądliwości? Niech się podda temu, który go przewyższa, a zwycięży to, co jest poniżej niego. Wtedy nastąpi w tobie pokój: prawdziwy, niezawodny i pełen łaski. Jaki jest porządek tego pokoju? Bóg włada duchem, a duch ciałem – trudno o lepszy porządek” (św. Augustyn, *Sermones post Maurinos reperti*, Roma 1930, s. 633, *Miscellanea Augustiana*).

Jak objawia się natomiast szósty zmysł w życiu człowieka, jak rozpoznać, że nim się posługuje? Oto jak określiła takiego człowieka św. Matka Teresa: „Radość jest osią naszego życia religijnego. Człowiek wierzący, pełen radości, jest jak słońce dla swojej wspólnoty. Radość to również oznaka szlachetności. Bardzo często skrywa ona życie pełne poświęcenia. Ci, którzy posiadli dar radości, osiągną wyżyny doskonałości. Powinniśmy być przekonani, że chorzy i cierpiący znajdują w nas prawdziwych aniołów współczucia i pociechy. Dlaczego nasza praca w ubogich dzielnicach została pobłogosławiona przez Boga? Nie z powodu naszych osobistych cech, lecz z powodu radości, którą okazują niektóre siostry zakonne. Radość jest najpewniejszym sposobem głoszenia Chrystusa światu”.

Kończąc wspólną drogę do poznania szóstego zmysłu życzę wszystkim Czytelnikom, aby w swoich modlitwach wyprosili u Boga serce z ludzką „wadą”, która u Boga jest „cnotą”: „kochać więcej, aniżeli...”.

EPILOG

Minęły trzy miesiące od mojej operacji serca. W tym czasie zmieniło się w moim życiu wiele zwyczajów. Stałem się człowiekiem z nowym sercem i jeszcze bardziej doceniam działanie szóstego zmysłu. Każda chwila z życia nabiera nowego kolorytu i kształtu. Jestem nadal otwarty na nowe wyzwania, ale bardziej czuję potrzebę przeżywania wszystkiego, co dotyczy mojej osoby poprzez serce. Być w pełni sobą to mało, zrealizować plany życiowe to niewiele, dalej się rozwijać to małostkowe. Otworzyć do końca swoje serce – to jest dopiero pełnia życia.

Chore serce jest pełne niespełnionych nadziei, lęków, tchórzostwa, złości, buntu. Wszelkie zło zagnieżdża się w chorym sercu i „gnije” zatrzuwając całą osobę i promieniując uperfumowanym smrodem na całe życie. Otwarcie serca jest trudnym momentem. Można to porównać jedynie do prawdziwej operacji na otwartym, zatrzymanym sercu. Bólu nie czuje się podczas operacji, ale trzeba go przeżyć po zabiegu. Nie jest to jednak niemożliwe, nie jest to nawet bardzo trudne. Powrót do normalności z nowym sercem jest wypełniony radością nowego życia.

Na wszystko zaczyna się patrzeć w nowy sposób. Inaczej na innych ludzi, na dotychczasowe obowiązki, na zwyczaje, na siebie i na swoje całe życie. Pojawia się na powrót dziecięca ciekawość, rodzi się odwaga, choć mimo wszystko lepiej powiedzieć byłoby: męstwo. Łatwiej korzystać

z doświadczenia i mądrości swojej i innych, łatwiej zaufać drugiej osobie, przestaje przeszkadzać rozumowe kalkulowanie, bo nad nim góruje prawdziwa miłość serdeczna i życzliwa, uważniej słucha się rad innych, a i wzrasta umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach. W nowym sercu nie ma miejsca na strach, lęk, tchórzostwo, małostkowość. Nowe serce, nowe życie, nowy człowiek.

Najbardziej tajemniczą zmianą wraz z nowym sercem jest nowa relacja z Bogiem. Okazuje się bowiem, że z Ojcem Niebieskim można rozmawiać o wszystkim, bez ceremonii i sztucznej pobożności. Można mówić takim językiem, jakim potrafisz się wysłowić, posługiwać się prostymi sformułowaniami, poruszać wszystkie tematy. Do prawdziwej, osobistej rozmowy, można nawet użyć słowa: prywatnej rozmowy z Bogiem (modlitwy) konieczna jest swoboda formy, treści, języka, wyrazu, uczuć i emocji. Bóg jest wtedy przy tobie, a ty jesteś z Nim. Po prostu mów wszystko, co przychodzi ci na myśl, co czujesz i wypowiadaj wszystko, co „ślina przyniesie ci na język”. Bóg chce tego wszystkiego cierpliwie z miłością ojcowską wysłuchać. Poskarż Mu się, powiedz o tym, co cię boli, niepokoi, czego się boisz, co jest twoim sukcesem i porażką. Otwórz swoje serce przed Bogiem również po to, aby cały smród grzechu, zła, i wszystkiego, co do tej pory w nim gniło, wyrzucić i pozbyć się tego ciężaru.

Nowe serce to wolne serce, piękne, kochające, szczere, ciepłe, wrażliwe, delikatne, ale jednocześnie mocne, odporne, niezwyknięte, odważne. Taki też jest człowiek z nowym sercem. Patrzy na świat szeroko otwartymi oczyma i trwa w podziwieniu i zachwycie.

Człowieka z nowym sercem nie można rozpoznać na pierwszy rzut oka. Jednak widać jego obecność w sercach innych ludzi. Potrzeba bowiem głębokich przemian w człowieku, aby mógł tworzyć nowy świat dla ludzi z nowymi sercami. Taki świat już można poznać i odczuć. Nie chodzi tu jednak o nową jakość życia, ale o patrzeć na świat oczyma serca. Patrzeć, słuchać, dotykać, smakować, wąchać świat sercem może każdy człowiek. I każdy ma do tego wrodzone predyspozycje. Chodzi zaś o to, aby ludzie z nowym sercem nauczyli się posługiwać szóstym zmysłem.

Nie jest to łatwe zadanie, ale dla każdego osiągalne i wykonalne. Wyjdź z domu, szukaj ludzi, podejmuj nowe wyzwania, odpoczywaj i czuwaj, pracuj, ale też relaksuj się. Rób wszystko, na co masz ochotę, a jednocześnie pozwól kierować sobą twojemu sercu. Wykrzycz swoje lęki, wyrzuć z siebie złość, pozbądź się asekuranctwa, zadbaj o przyjemności, wchodź na nowe terytoria innych ludzi, załatwiał każdą sprawę sam, rozglądaj się naokoło, ale bądź skupiony w swoich myślach i uczuciach. To nie są dobre rady, ale trochę nieudolna próba przekazania rodzących się w sercu pragnień dzielenia się własnymi przeżyciami. Świat jest piękny dla ludzi z nowym sercem, dlatego we mnie jest takie pragnienie, aby o tym mówić, przekonywać, zachęcać i pomagać.

Te ostatnie słowa do książki piszę w Centralnym Szpitalu Klinicznym MSWiA w Warszawie w Klinice Kardiologii i Nadciśnienia Tętniczego; kieruje nim pan prof. nadzw. dr hab. n. med. Dariusz A. Kosior. Podczas pobytu tam opiekowała się mną pani doktor Edyta Domańska, kardiolog. Ten pobyt w szpitalu kończy pewien etap w moim leczeniu. Chciałbym więc wpisać ten czas pobytu w Klinice w mój życiorys jako uwieńczenie medycznych procedur. Na ręce Pana Profesora i do jego serca składam podziękowania dla wszystkich ludzi, z którymi się zetknąłem na drodze mojego zdrowienia. Specjaliści od serca potrzebują również serca innych ludzi. Słowo: „dziękuję” jest tylko zewnętrznym wyrazem, można rzecz symbolem wdzięczności rodzącej się w sercu. Każdej osobie chciałbym ucisnąć dłoń, pocałować i powiedzieć, patrząc w oczy z wdzięczną miłością: jesteś dla mnie tak ważny, że masz w moim sercu stałe miejsce.

Cóż jeszcze można przekazać ludziom pragnącym nauczyć się posługiwania szóstym zmysłem? Już dzisiaj, zaraz, w tej chwili wzbudźcie w sercu pragnienie odnowy serca. Ludzi z nowym sercem jest nadal za mało, aby świat stał się lepszy. Chore serce boli, ale ludzie przyzwyczajają się do bólu. Chore serce jest ciężkie od chorych uczuć, ale ludzie przyzwyczajają się je dźwigać. Chore serce ledwo bije, ale ludzie przyzwyczajają żyć w zwolnionym tempie. Chore serce drży ze strachu, ale ludzie przyzwyczajają się do życia w ciemności lęku.

Jeśli masz chore serce, nie bój się do tego przyznać. Nie jest to łatwe, ale ile energii wyzwala przyznanie się do chorego serca. Dalej może być

już tylko lepiej. Może serce zaprowadzi cię na początek do sakramentu pokuty i pojednania? Może zapragniesz szczerzej i dłużej rozmowy z Ojcem Niebieskim? Może serce podpowie ci, z kim masz się spotkać? Może to być również niespodzianka: zaplanuj na najbliższy czas wyjazd na długo oczekiwany odpoczynek.

Długo trwała ta moja medyczna droga zdrowienia. Mam jednak świadomość, że nigdy nie byłem sam. Każdemu człowiekowi potrzebna jest obecność innych ludzi. I każdy może się łatwo przekonać, że tylko od niego zależy moment, od którego zacznie się życie z nowym sercem. To nowa jakość życia, ale przede wszystkim czas szczęścia, do którego każdy ma prawo; nawet człowiek z sercem w beznadziejnym stanie.

K o n i e c .

Pragnących podzielić się swoją refleksją po lekturze książki
zapraszam do kontaktu ze mną drogą mailową

jkp6@wp.pl

SPIS TREŚCI

O sobie samym	7
Wstęp	11
ROZDZIAŁ I	
Kilka uwag o teologii stosowanej, którą to część Czytelnik może, jednak nie bez większej szkody dla zrozumienia całości, opuścić	15
ROZDZIAŁ II	
Opowieść, albo jak kto woli wspomnienie godne wysłuchania i przekazania innym	21
ROZDZIAŁ III	
Szpital – i miejsce, i ludzie, i środowisko	27
ROZDZIAŁ IV	
Lekarze	33
ROZDZIAŁ V	
Pielęgniarki	37
ROZDZIAŁ VI	
„Zielone buty”, czyli personel, bez którego żaden oddział szpitalny nie może funkcjonować	41
ROZDZIAŁ VII	
Miłość matki	43
ROZDZIAŁ VIII	
„Tu, gdzie jestem, muszę najpierw przeżyć każdy dzień od nowa” – krótka refleksja o miłosierdziu	47

ROZDZIAŁ IX	
Szpital – nadzieja w życiu i w śmierci	61
ROZDZIAŁ X	
Modlitwa w szpitalnej rzeczywistości	69
ROZDZIAŁ XI	
Krzyż w szpitalnej przestrzeni	77
ROZDZIAŁ XII	
Tajemnica prawdy widziana przez pryzmat cierpienia	87
ROZDZIAŁ XIII	
Już blisko końca: nawracajcie się i wiercie w ewangelię (por. Mk 1, 12–15)	101
ROZDZIAŁ XIV	
Przed samym zakończeniem opowieść jubileuszowa: „Teraz jest nas dwóch”	115
Zakończenie	121
Epilog	127

Współczesny człowiek staje się coraz bardziej „ślepy”, „głuchy”, „nieczuły”, „pusty”, bo zatracił szósty zmysł. Dzisiaj jest coraz więcej ludzi bardzo samotnych, żyjących w totalnie zaplanowanym świecie bez Boga. Gdyby cały świat stał się na moment szpitalem, a wszyscy ludzie byłiby pacjentami, to większość z nich odkryłaby na nowo szósty zmysł i świat już na zawsze stałby się inny, bo byłoby w nim więcej miłości, a ludzie staliby się lepsi, mądrzejsi, piękniejsi, szczęśliwsi. Każdy człowiek otrzymuje w darze pięć zmysłów: wzroku, słuchu, dotyku, smaku i powonienia, z których może lub, z różnych powodów, nie może korzystać, a niekiedy nie chce korzystać. I tak np. Jezus mówił do swoich uczniów: „Macie oczy, a nie widzicie; macie uszy, a nie słyszycie?” (Mk 8, 18). U niektórych ludzi zmysły mogą być zablokowane na czas ziemskiego życia, dlatego są np. osoby niesłyszące, niewidzące. Jednak jest jeden zmysł, szósty, który również każdy człowiek posiada, ale większość, niestety, z własnej winy, nie wykorzystuje go. O tym szóstym zmyśle jest ta książka [...]

Ze Wstępu